



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

OD WYDAWCY.

Zamieszczona w kwartale bieżącym w „Bluszczu” powieść pod tytułem:

NA RUINACH

wydrukowaną została *jednocześnie* w jednym z pism galicyjskich. --- Wydawca „Bluszczu”, chcąc tego w przyszłości uniknąć, dołożył starania, ażeby drukujące się w tem piśmie powieści oryginalne w innych pismach się nie powtarzały.

DO SZTUKI.

Duchów kochanko, w niebie wysniona,
Ze wzniosłych uczuć wykwiła fal,
Zbolałe serca przytul do łona
I w nieskończoną unoś je dal!

Nieskończoności otwieraj pole
Dla tych, co zdolni kochać i snić;
Przypnij do lotu skrzydła sokole
I życiem niebian dozwól im żyć.

Sięgnij do głębin ludzkiego ducha
I tam drzemiące potęgi zbudź;
Niech człowiek głosu tych potęg słucha,
Niech z wiarą puszcza na fale łódź.

Niechaj nie rzuca w boju oręża,
Dopóki starczy ostatka sił;
Niechaj miłością tylko zwycięża,
Miłością świadczy, że wielkim był.

Niech z przebaczenia cichemi słowy
Patrzy na życia męty i szal,
Zawsze ukochać, umrzeć gotowy,
Byleby życie za innych dał.

Niebianko! Sercem wstrząśnij do głębi,
Opromień chwile młodzieńczych lat;
Niech życie uczuć nam nie wyziębi
I wiary w świętość nie zniszczy świat.

Odsłoń przed nami kraj ideału,
Ten mar wysnionych czarowny kraj,
Przepłomień ducha iskrą zapala
I—jeśli możesz—szczęścia nam daj.
J. Nitowski.

Zdrowe wychowanie i kształcenie umysłu.

(Dokończenie).

Nietylko bywa tak w szkole. Dzieci małe, oddawane w ręce bon surowych, lub dzieci matek nierozumiejących co to jest delikatna istota małego dziecka, cierpią w rozwoju swym naturalnym. „Kazać dziecku siedzieć cicho, kazać mu aby nie hałasowało, aby oszczędzało sukienki, jestto wyrządzać jego zdrowiu krzywdę, niepojmowaną przez tych, którzy nigdy nie zgłębiali natury dziecka.” Dzieci chowane po miastach nie dlatego głównie są delikatniejsze i słabsze, mniej ciałem rozwinięte, że powietrze, którem oddychają, jest tu mniej czyste. Dzieje się to przeważnie z tej przyczyny, że przebywają wię-

cej w pokojach zamkniętych, że mają mniej ruchu, a nigdy prawie tak swobodnego jak na wsi.

Aby przyznać autorowi słusność, trzeba sobie przypomnieć postrojone dzieci warszawskie w Saskim Ogrodzie, których ruch jest i musi być konwencyonalnym, ujętym w przepisy konieczne w warunkach strojnego ubrania i pojęć o dobrem wychowaniu, o grzeczności dziecinniej. Czy to biedne maństwo może się swobodnie położyć na trawie, krzyknąć głośno, biegać i weselić się na swej własny, instynktowny sposób, który jest swobodnym popędem niekrepowanej natury? Już nawet bez nadzoru bony jest na to zbyt przejęte uszanowaniem dla aksamiitnej sukienki, dla kapelusza z piórami, i już tego kapelusza w rozweseleniu zabawy z główki nie zrzuci, już tej sukienki tak nie pogniecie, jakgdyby była luźną bluzą perkalową, która, uprana nazajutrz, przedstawiałaby znowu ubranie czyste i świeże.

Dziecko miejskie rośnie dla tych wszystkich względów towarzyskiego konwenansu rodziców w warunkach gorszych, niż dziecko wiejskie, w najgorszych, jeżeli niewola bony lub szkoły ujmie je przedwcześnie w swój rygor wychowawczy. Autor potępia ryczałtem wszystkie szkoły i ochrony, gdzie dziecko przebywać musi od 9-tej godziny rano do 12-tej w południe, a potem od 1-ej do 4-tej i to nawet wtedy, gdy według przepisu obowiązującego we Francji dostaje piędziesiąt jedną a drugą godziną lekcyi kwadrans odpoczynku, czy czasu na przygotowanie się do lekcyi następnej. Wytwarza to razem sześć godzin zajęcia dziennie, a jeżeli jeszcze dziecko musi się uczyć zadanych lekcyi po za temi godzinami, staje się to już szkodliwym przeładowaniem umy-

słu: „surmenage intellectuel“, które w ogóle rozpoczyna się dla dziecka pokoleń dziś żyjących od szóstego roku życia, wraz z zaczynającą się nauką i ciągnie się aż do końca edukacji przez wszystkie jej fazy i stopnie.

Ze dziecko we wspomnianych latach nauki pierwszej, to jest od szóstego do jedenastego roku nie powinno się uczyć dłużej nad godzin cztery, i to z dłuższymi, niż kwadrans, przerwami w pierwszych latach nauki — zgadzają się na to wszyscy lekarze francuscy. Dziecko mniej męczone przymusem, do którego jeszcze usposobionem nie jest, a z którym nawet natura siłą instynktu zachowawczego walczyć mu każe, nauczyło by się więcej i lepiej w tym krótszym przeciągu czasu, z którego nie odrzadzaoby już nic znużenie i nieuwaga. Przytem zdrowsze i lepiej rozwinięte, byłoby do nauki chętniejszem i zdolniejszym w tej ważnej dla niego chwili, gdy przystępuje do nauki, już seryo pojętej — do nauki licealnej, czy gimnazjalnej. Autor wymienia nazwiska lekarzy paryskich, którzy w raportach, złożonych Radzie Miejskiej, żądali dla dzieci do lat jedenastu tylko czterech godzin dziennie pracy umysłowej.

Dalej powołuje się na wygłoszoną d. 27 Stycznia r. b. w Izbie Deputowanych mowę biskupa Freppel, który zdanie to podziela. Mowa była rozumna i szlachetna, brała w obronę przyszłość myśli francuskiej w tej pierwszej iskrze intelligencji, którą dziecko każde ze sobą do życia przynosi, a którą zatłumić można przez surowe i twarde ujęcie złego systemu nauczania. Książd Freppel zajmował się niegdyś sam nauczaniem i mówił z pedagogiczną znajomością rzeczy.

Dzisiejszą naukę szkół średnich, gimnazyów, liceów, uważa Rochard za równie przeciążającą. Uczą za wiele — ilość przedmiotów sprawia przecież, że nauka jest podawana jedynie w zarysach, obciąża też głównie pamięć i jest dla umysłu więcej napełnianiem go wiadomościami, niżeli nauką właściwą. Mniejszą ilość przedmiotów z większem pogłębieniem nauki, uważa on za więcej pedagogiczny i rozwijający systemat nauczania. Kto jedną choćby gałąź wiedzy ludzkiej zgłębił do pewnego już stopnia, kto nad nią pracował umysłem niepowierzchniowo, ten przede wszystkim odniósł ten zysk wielki, że sobie umysł zaprawił do nauki wogóle: władze jego rozwinął i do naukowej dyscypliny je włożył — nauczył się uczyć, co jest wielkim zadaniem nauki średniej. Ale — pisze Rochard — systemat nauczania w szkołach publicznych spoczywa w rękach państwa. Jak przecież rodzina ze szkolną edukacją dzieci swoich współpracować może i powinna, jak możliwe tu niedobory wyrównywać jej należy? — to pytanie ważne dla obowiązków wychowania rodzicielskiego.

Pieszczotliwe wychowanie domowe, które siłę nie rozwija i szkolom daje już dziecko delikatne, bez zapasu tej jędrnej czerstwości, która-by pozwoliła trudy nauki lepiej znosić, trzeba uważać za ciężki grzech rodziców przeciw dzieciom swoim. Dziecko do lat dziesięciu rozmnie prowadzone, karmione racjonalnie, nieczuwające, jak starsi, po nocach, używające dość ruchu i świeżego powietrza, bez krepujących je sukien elegancjki, już nabierze pewnej zażywności, która mu potem przy trudach szkolnych z pomocą przychodzi, ale to początek dopiero. Rodzice uczniów szkolnych, matki zwłaszcza powinny pamiętać, aby ich synowie, ich córki, otrzymywały pokarmy pożywne, lecz proste i łatwo strawne; aby domowy układ życia brał w rachunek specyjalne potrzeby ich zdrowia. Gdzie rodzina prowadzi życie światowe, przyjmuje często gości, czuwa po nocach, tam ucząca się młodzież powinna mieć pomieszczenie tak oddalone od tego ogólnego ruchu, aby najpierw myśl nie odrywała się od obowiązków nauki, a następnie potrzebny wczas zakłóconym nie był. Dziecko nie powinno być przyzwyczajone do usypiania tylko w ciszy; zbyt uczuciowa troskliwość matek złą przysługę dzieciom swoim czyni, gdy je do tej wybredności przyucza, ale zły to jest i przerywany sen istoty młodej, z wyobraźnią wrażliwą, gdy tuż obok daje o sobie znać ruch głośny i ożywiony. Rodzice uczących się dzieci

powinni też dla wielu względów wychowawczych wieść życie poważne, a gdzie tego być nie może, niech lepiej ucząca się młodzież na pensye oddawaną będzie.

Rochard nie jest zwolennikiem pensyonatów, nawet przeciwnie, niejedno konieczne zle w nich widzi. Ale tam, gdzie rodzice nie chcą, czy nie mogą domu swego tak urządzić, aby potrzeby uczącej się młodzi uwzględnione były, aby dzieło wychowania prowadziło się dobrze, tam lepiej na ten rozdział rodziców z dziećmi przystać, bo nie sama czułość miłosna chować może. Edukacja wymaga jeszcze rozumu, wymaga znajomości rzeczy.

Dodać-by należało jeszcze do jego uwag, że tam gdzie umysł matki nie dość pojmuje ważność tych praw moralnych i fizycznych, na których dobre wychowanie oprzeć się powinno, ojcu należy przyjąć jej z pomocą potrzebnych objaśnień i wskazówek. We dwoje sądzić powinni o tym ważnym ich obojga obowiązku. Żmichowska pisze, że lekarz specjalista powinien być przez rodziców zawezwany do narady nad kierunkiem wychowania fizycznego, które wedle wymagań organizmu pewnym zmianom ulegać powinno. Otóż podobna narada rodziców z rozumnym pedagogiem — narada opierająca się na pewnych rysach charakteru, które się w młodocianej istocie ich dzieci zaznaczają, mogłaby być rzeczą wielkiego wychowawczego znaczenia. Potrzeba czasem jednego promienia światła, aby nam wystąpiły przed oczy rzeczy, niewidzialne dotąd, a jednak doniosłe i na uwagę zasługujące.

Podobnie jak obecnie nasi pedagogowie, z okazji Wystawy Hygienicznej, jak wogóle wszyscy pedagogowie dzisiejsi, Rochard żąda dla uczniów i uczennic szkół średnich, ośmiu, a przy delikatniejszym organizmie dziewięciu godzin snu, ośmiu godzin nauki, ośmiu godzin poświeconych wypoczynkowi, połączonego z odpowiednim ruchem. We Francji zajęły się kwestyą przeciążania umysłu młodzieży: „surmenage intellectuel“ najpoważniejsi myśliciele, i gdy z jednej strony podnoszą ją członkowie Akademii medycznej, jak Lujardier-Beaumetz i Rochard; gdy znakomity lekarz, dr Lagnéau, przesyła Akademii nauk moralnych i politycznych memoriał w tym przedmiocie a minister oświecenia, Berthélot, podzielałszy te przekonania, wnosi rzecz na forum Senatu (d. 25 Lutego r. b.) rektor Akademii Paryskiej, Gréard, zwraca uwagę publiczną na inną jeszcze wadę nowoczesnego nauczania. Nazywa je katalogiem: „qui effleure tout, et n'approfondit rien.“ Inny i niepospolity myśliciel, Juliusz Simon dodaje: „że oducza on młodzież od myślenia.“ Przez dziesięć lat nauki (elementarnej i średniej) „młodzież tak musi wciąż słuchać, pisać i powtarzać to w wydawanych lekcjach, że nie ma czasu myśleć.

To też z tego względu wytwarza się nowy a wielki obowiązek rodziców, aby nie dali dzieciom swoim stać się manekinami z pewną ilością wiadomości wtłoczonych im w głowę. Nowoczesny programmat szkolny tak jest pełny po brzegi, że trudno już jest dodać tu cośkolwiek nauki właściwej, ale na poruszenie w sercu młodem tego, co wchodzi w zakres drogi każdego człowiekowi uczuć, na zwrócenie myśli młodej w stronę drogi każdego człowiekowi przekonań i interesów moralnych — na to czas znaleźć się zawsze może i powinien.

Na to czas znaleźć się zawsze w wychowaniu musi, pod groźbą dla serc rodzicielskich najwyższą, że dzieci nie będą tak czuć i myśleć, jak ich ojcowie, że stworzą sobie inne świętości i ideały życia, że dziedziczny łańcuch idei przerwie się na nich!...

Sfera uczuć jest sferą rodzinną, domową — sferą wychowania rodzicielskiego. Matka powinna od kolebki serca dziecinne miłością ogrzewać i budzić do życia pierwiastki tego uczucia, o którym poeta stary woła: „Czuja cię tylko umysły pocziwieli!“ Ojcu należy następnie zwracać myśl syna w te strony życia, które są owych uczuć zawarowaniem i na których gruntuje się prawo jego uczuciowości, jako osobistości ludzkiej i jednostki społecznej. Matka niech ziarna uczuć od lat najpierwszego dzieciństwa

w serca sieje przez wszelkie domowego wychowania strony, zwłaszcza przez obyczajów tradycyjność, ojciec niech im podstawę rozumową daje, a razem serca młode tak się ukształtują, że uczucie wpływ swój i na kształcenie umysłu wywierać będzie — będzie o drogach jego myślenia coś stanowić.

Szkola na czas wakacji dziecko rodzicom zwraca. Ze względu na wypoczynek umysłu wszelka nauka szkolna na bok odsunięta być powinna, ale na sokratesową, platońską metodę nauczania czas się właśnie otwiera. W rozmowach ojca z synami, wśród pól i lasów, jak pod drzewami ogrodu Akademii, może i powinna prowadzić się edukacja uczucia i tych pojęć moralnych, które ojciec winien jest dzieciom przez święty obowiązek wypłacenia się swoim zstępny z kapitału uczuć i pojęć, jakie sam po rodzicach otrzymał.

Nie trzeba na to jakichś szczególnych studyów przygotowawczych, jakichś planów wedle metody naukowej obmyślanych. Dobrze, gdzie tak być może, ale wielce mądrzem jest przysłowie francuskie: „Le mieux est l'ennemi du bien.“ Niech każdy robi to, na co go stać, a tu trzeba głównie rękę do serca przyłożyć i w pierś dziecka to przelewać, co we własnym naszym łonie jest miłością i wiarą, pragnieniem i nadzieją — uczucia naszego siłą i życiem.

Ojciec winien jest jeszcze dzieciom swoim po skończeniu już nauki i to nie tylko średniej, ale i najwyższej, uniwersyteckiej, słowa, które francuski kanclerz, d'Aguesseau synowi w chwili podobnej powiedział, a które Rochard przytacza: „Mon fils, vos classes sont terminées, vos études commencent...“

Ojciec ma święty obowiązek wskazać dzieciom kierunek tych studyów, które się po skończeniu szkolnej nauki zaczynają. Metoda nowoczesna ma tu całą słuszość za sobą: od najbliższego zaczynać...

Zwracając się do fizycznych szkód, jakie przynosi ze sobą systemat nowoczesnego nauczania, „instruction hâtive“, Rochard zwraca uwagę publiczną na krótkowidztwo, rozpowszechniające się w takich rozmiarach, że już przestaje zwracać na siebie uwagę ludzką, a które jednakże nie tylko już na razie tworzy „pół-slepotę“ (démicéité) ale jest często początkiem (point de départ) bardzo ważnych zaburzeń wzroku. A wzmacnia się ta klęska publiczna z roku na rok, i Rochard potwierdza to liczbami, zapożyczonemi od niemieckiego oftalmisty, Cohna z Wrocławia, który je przedstawiał w r. 1886 na zgromadzeniu niemieckich lekarzy i naturalistów. Wynik tych spostrzeżeń czynionych na 40,000 uczącej się młodzi, w r. 1880 był: na sto dzieci znajdował się w szkołkach wiejskich krótkowidz 1, w szkołkach elementarnych od 5—11; w szkołach dziewcząt od 10—24; od 20—40 w szkołach realnych; od 30—50 w gimnazyach filologicznych. W ostatnich dwóch latach było w gimnazyach realnych i filologicz. krótkowidzów od 35—60 na 100, a stosunek ten podnosił się do 64 na 100, we Wrocławiu; do 75 w Magdeburgu, do 80 w Erlangen, w Heidelbergu, w uniwersytecie, dochodzi do 100 na 100!...

Rochard dodaje, że także badania miały miejsce we Francji ze skutkami bardzo podobnemi, szczególnie w Szkole Politechnicznej. A jednakże nie jest to cechą czasu ogólną, wynikiem wyradzania się człowieka, bo zupełnie inny rezultat okazały badania, dokonane na marynarzach i rybakach nadmorskich okolic, więc na ludziach, którzy patrzą ustawicznie na obszary wód błyszczących i migotliwie łamiących światło, których wzrok ustawicznie się wysila, patrząc w dal za pojawiającymi się na płaszczyźnie wód statkami.

Rodzice oddający dzieci swoje do szkół, nie kończą jeszcze na tem wychowawczego zadania chwili. Miłość rodzicielska powinna przeciwnie wzmóc się w czujności i troskliwości swojej nad tą istotą młodą, która wychodzi już niejako na arenę życia publicznego i odbywać zaczyna życia tego nowicjat pierwszy.

M. Ilnicka

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

Uśmiechnęła się i główką wstrząsa lekceważąco.

— Taka muzyka!... wolę już to—dodała, wskazując pędzelkiem na farby i krążek porcelanowy—przynajmniej jakiś pożytek zostanie; pożywią się tem biedni.

— Jakto biedni?

— Urządzają tu wentę na przytułek dla ubogich i proszono mnie o jaki datek. Przyrzekłam pani Krulle, że jej nadesłę kilka drobiazgów, a że mam nieco wolnego czasu, więc maluję kwiatki na porcelanie. Może się to komu podoba i kupi.

Potem, zwracając się do Romualda, spytała niby od niechcenia:

— Pan nie maluje?

— Owszem pani, tak i nie — brzmiała odpowiedź — był czas, kiedy mi się zdawało, że posiadam zdolności do wszystkiego, więc i do malarstwa. Napsulem mnóstwo papieru, ołówków, płótna i farb, aby się w końcu przekonać, że nigdy nie potrafię wymalować takiego anioła, którego by na ptaka nie wzięto, ani takiego ptaka, któryby nie był do nietoperza podobnym. Dałem pokój sztuce, aby jej nie narażać, a siebie nie kompromittować.

Pani Zofia uśmiechnęła się niedowierzająco.

— Jestem przekonana — rzekła — że się pan obmawiasz przede mną, a przysłówie powiada: „Kto się gani, ten się chwali.“ Chociaż to nie bardzo grzecznie na pierwszej wizycie wyzykiwać gościa, jednak mam ochotę zaproponować panu dobry uczynek do spółki.

Podawała mu tablecik, na którym wykwitła pod jej pędzlem śliczna herbaciana róża z zielonemi listkami i rzekła:

— Proszę mnie przekonać o swoim nieuctwie i domalować tu z boku motyla.

— Jakto?... naprawdę masz pani zamiar wystawić mnie na tę ciężką próbę?

— Najzupełniej: oto pędzel, farby, siadaj pan obok i pracujmy razem. Nie zmarnujemy czasu na samej rozmowie.

Spojrzała na niego swemi dużemi, przenikliwemi oczyma, które zachęcały go i, ośmielały widocznie do tego popisu. Nie opierając się dłużej, wziął pędzel, zdjął rękawiczkę i usiadłszy naprzeciw pani Zofii, zaczął szybkimi i śmiałymi rzutami malować.

— Zepsuję pani to cacko—mówił—róża straci na wartości, ale ja zyskam na opinii, bo przekonam panią, że umiem być posłusznym.

Zaczęli rozmawiać o czemś obojętnem i przesłakiwać z przedmiotu na przedmiot, pracując każde zosobna nad swoim dziełem. Pani Zofia od czasu do czasu spoglądała z pod oka na gościa swego, który z umysłu zasłaniał nieznacznie ręką robotę, w ciągu kilkunastu minut skończoną zupełnie, jakby przygotowywał niespodziankę dla ciekawej gospodyni; wreszcie odkładając pędzel, rzekł:

— Oto zadanie skończone; odstąpiłem trochę od tematu, lecz mi pani wybaczy mój pomysł dwuczyny.

Przy tych słowach podsunął jej pod oczy tablecik z herbacianą różą, na której listku wypukliła się duża, wybornie namalowana... gąsienica.

Pani Zofia aż w ręce plasnęła z podziwu.

— Ależ pan jesteś skończonym artystą, nie dyllentem!—zawołała—a co za pomysł oryginalny!... rzeczywiście wstydzę się teraz, że panu poddałam tak szablonowy temat. Motyle przy różach—to komunal tak już zużyty w sztuce.

W tej chwili w ciemnych ramach pluszowej portyery, osłaniającej wejście z saloniku do buduaru, ukazała się główka dziewczęcia w jasnej sukience z rozpuszczonemi *à l'enfant* włosami, przyszyronemi w grzywkę nad czołem, i dźwięczny głosik dał się słyszeć:

— Mamani!...

Na widok obcego mężczyzny wszelako, główka, jak prędko się ukazała, tak szybciej jeszcze zniknęła za zasłoną z zawstydzonym:

— Ach przepraszam!...

— Czego chciałaś Dziuniu?—spytała pani Zofia, nie wstając z miejsca — możesz wejść, nie przeszkadzasz moje dziecko. Chodź, przedstawię cię panu.

A zwracając się do Romualda, dodała:

— Pokażę panu moję córkę.

Dziewczynka około lat dziesięciu weszła z układowym dygiem i podała swą drobną rączkę gościowi na powitanie.

— Panna Dziunia—przedstawiała z uśmiechem matka—jak pan widzi, jedna z najczarniejszych i najbardziej opalonych panienek w Warszawie, ale jedna z najdzielniejszych Ukrainek. Powinna była urodzić się kozakiem i odrazu na koniu—prawda Dziuniu?... byłabyś po całych dniach biegła po stepie.

Dziewczynka w uśmiechu odsłoniła szereg białych, jak śnieg ząbków, na ogorzalej buzi zarysowały się wdzięczne dolki a czarne oczki błysnęły radośnie na wspomnienie stepu. W małej Ukraince znać było zarodek ognistego temperamentu, który już w dziecku zapowiadał się wyraźnie.

— Czego Dziunia chciała?—spytała pasierbica pani Odoniecka.

Dziewczątka spojrzało na gościa, zawahało się chwilę, a rzuciwszy mu krótkie: „przepraszam“, pobięło do matki, by wspaść się na paluszkach i zasłaniając usta rączką, szepnąć jej w samo uszko jakąś wesołą tajemnicę.

Wyglądała, jak kuszący szatanek przy boku pięknej kobiety.

Cicha spowiedź nie musiała podobać się pani Zofii, bo, zlekka odsuwając dziewczynkę, mówiła:

— Nie, nie można, nie pozwalam—a dziecko pieszczotliwie obejmując ją za szyję, tuliło swą kędzierzawą, czarną główkę do jej piersi i prosiło się półgłosem:

— Moja mamusiń, moja mamó, moja matuleńko, co ci to szkodzi?...

— Powiedziałam, że nie z tego nie będzie, moja Dziuniu, i rzecz skończona.

— Kiedy ja chcę!—nalegała już z pewnym dąsem dziewczyna, krępowana widocznie obecnością obcego człowieka.

— Ty wiesz, że takie panienki jeszcze swej woli nie mają — upomniała matka — proszę być grzeczną i nienapierać się nadarmo.

Słowem tym towarzyszyło spojrzenie nie surowe, ale stanowcze, które dziecko rozumieć dobrze musiało, bo z rumieńcami na śniadej twarzy wybiegło z pokoju, zapomniawszy w roztargnieniu dygnąć gościowi na pożegnanie.

— Czy wie pan, o co się tak napierała?—rzekła pani Odoniecka po wyjściu Dziuni—oto chciała sprowadzić do swego pokoju koniecznie akrobatów jakichś z podwórza, by ją nauczyli koziółków. Dziwne ma czasem zachcianki to dziecko!... Nie uwierzysz pan, ile siły potrzeba do kierowania tem maleństwem. Serce ma bardzo dobre, główkę nad wiek otwartą i pojętną, ale odziedziczyła po ojcu charakter popędliwy i samowolny, a po matce szalony temperament, który mi przyszło teraz mitygować wychowaniem i karnością wyjątkową. Kocha mnie jak rodzoną matkę, ale często w prawdziwy kłopot wprawia i przeraża swojemi porywami.

Pierwsza wizyta przeciągnęła się poza zwyczajną normę; Romuald im bardziej się wpatrywał w Zofię, tem więcej uroku znajdował we wdziękach i całej jej postaci, rozkwitającej pełnią niewieściej krasy; im dłużej z nią rozmawiał, tem więcej odkrywał zalet niepospolitego umysłu i tej wyjątkowej inteligencji, której mężczyźni z niesłusznem często uprzedzeniem nie przypuszczają w pięknych kobietach.

Uznał panią Odoniecką za jedną z najbardziej

interessujących indywidualności, jakie mu się dotychczas spotkać zdarzyło w życiu; bronił się temu urokowi, próbował być trochę sceptycznym krytykiem i postanowił sobie zachować całą trzeźwość sądu wobec kobiety, której wrażenie czuł na sobie, wzmagające się z każdą niemal chwilą.

Wyszedł olśniony, odurzony pierwszą wizytą, oczarowany duszą i wdziękami swej nowej znajomości, pociągającej go nieprzepartą jakąś siłą, a imponującej mu jednocześnie. Pani Zofia, po kilku dalszych odwiedzinach nie mogła się również zaprzeć wobec samej siebie wrażenia, jakie Romuald na niej sprawił od pierwszego zetknięcia w salonie Fiszbaumów i pierwszych słów z nim zamienionych. Instynktem kobiecym odgadła w nim niepospolitą naturę, wrażliwą, zdolną do najszlachetniejszych porywów, łatwo zapalną, ale siłą woli tłumioną wewnątrz; była w nim ta jakaś arystokracja duszy wyjątkowej, która nie lubi się udzielać łatwo a zwłaszcza mieszać z tłumem, odsłaniać przed gawiedzią, pospolitować w życiu i stosunkach codziennych.

Wobec pani Zofii Romuald zrzucił dobrowolne więzy, czuł się swobodnym, nie krępowanym żadnym przymusem; przeciwnie, coś go podniecało, zachęcało, ośmielało do przedstawienia się jej inaczej, prawdziwiej, niż przed całym światem; zdawało mu się, że mógłby z nią mówić o twarce o wszystkim, co miał na myśli i na sercu, odkryć jej niedostępne dla nikogo tajniki swojej duszy. Pierwszy raz czuł tę niewypowiedzianą rozkosz wyższego umysłu, jaką daje obcowanie pokrewnych sobie pod każdym względem natur, które do siebie przystają zupełnie i rozumieją się całkowicie.

Od śmierci matki nie spotkał nikogo, z kim byłby mógł rozmawiać tak szczerze.

Pan Sylweryusz patrzył na syna z podziwem a zarazem z jakimś głębokim zadowoleniem; nie uszła jego uwagi zmiana, jaką dostrzegł w synu od czasu zabrania znajomości z panią Odoniecką. Jakkolwiek nie miał jeszcze sposobności wybać Romualda dokładnie, z krótkich wzmianek, ze słów odwranych, z całego jego postępowania domyślać się musiał, że syn swą nową znajomością zajęty jest inaczej, niż wszystkimi innemi dotychczas.

Stary Lacki od dwóch tygodni był w wybornym humorze; zawzięcie lepił swoje karciane domki i, co mu się w ostatnich czasach coraz rzadziej trafiało, śpiewał przy robocie francuskie piosenki i pogwizdywał wesoło, jakby mu dwadzieścia lat z karku ubyło. Odmłodziły go jego własne myśli, z którymi nie zdradzał się przed nikim.

Pierwszy wonny bilecik, nadesłany do syna, przejął pana Sylweryusza dreszczem tajemnej rozkoszy; z lubością przyglądał się pismu na adresie, złożonemu monogramowi na kopercie i wciąż won fijołków, jaką papier wydawał. Byłby dał wiele za to, gdyby mu dyskrecja pozwalała poznać treść tego liściku, który ojca uszczęśliwiał samym widokiem i zapachem; stary wietrzył w nim jeden z owych niewinnych z początku *billets doux*, dających podstawę korespondencji coraz poufalszej między mężczyzną a kobietą.

Mylił się; list pani Odonieckiej był krótki, grzeczny, nic nie mówiący;—przypominał Romualdowi ustne zaproszenie na wieczór w małym kółku, jaki wydawała dla swoich najbliższych znajomych dnia następnego. W przypisku znajdowała się wzmianka o przyrzeczonych fantach na loteryę.

Panu Sylweryuszowi przyszła myśl do głowy przyczynienia się ze swej strony lepieniem drobiazgami własnej roboty i inwencji; wybrał kilka najpiękniejszych pudełek i koszyczków złożonych ze sztucznych kwiatami i wręczając je Romualdowi, rzekł:

— Złóż także moję ofiarę pani Odonieckiej.

Propozycja ta nie podobala się młodemu Lackiemu, nie ze względu na wartość przedmiotu, ale wstrzymywała go jakaś drażliwość, z której nie śmiał wyświadczać się ojcu. Wstydziło go to amatorstwo rodzica do zabijania czasu drobiazgami, do zajmowania się pracą bezmyślną,

która nieszczególnie wyobrażenie dawała o człowieku.

Nie chciał, aby z niej wnioskowano źle o jego ojcu.

Stary Lacki nie mógł zrozumieć tej delikatności syna.

Z wieczoru u pani Zofii wrócił Romuald w różowym humorze, jakkolwiek spędził go tylko w rodzinie państwa Fiszbaumów, zapelniających salon pani Odonieckiej.

Bankier, chcąc się popisać swą letnią rezydencją pod Warszawą, zaprojektował, aby całe towarzystwo wybrało się na kilka dni podczas tej „naszej polskiej jesieni” — użyć milego wczasu na wiejskim powietrzu; chciał pani Zofii pokazać coś takiego, czego jeszcze zapewne w kraju nie widziała, zapewniał, że Brylantówka przypomni jej villę Palavicini pod Genuą.

Projekt się utrzymał i w najbliższą niedzielę kilka powozów wyruszyło za miasto. Panna Ludwika zażądała od Romualda, aby jej towarzyszył konno, jako *cavaliere servente*, i przy tej sposobności wypróbował nowego wierzchowca, którego ojciec nabył za sute pieniądze.

— Pan lubi jeździć konno? — spytała Lackiego.

— Wychowałem się na wsi.

— Będziemy brali razem przeszkody, jeżeli się pan nie obawia.

Romuald uśmiechnął się za całą odpowiedź, a rezolutna bankierówna dodała znacząco:

— Zobaczymy, kto wytrwalszy.

Śliczny wrześnieowy ranek sprzyjał wycieczce; przez całą drogę Romuald, ze zrzecznością wyborczego sportsmena, towarzyszył śmiałej amazonce, która, z widoczną intencją, wyprzedzała resztę towarzystwa, trzymając się jaknajdalej powozów.

— Pędziłyś pan tak ze mną dzień cały? — spytała w rozmowie Romualda.

— Musiałbym, gdybyś pani zażądała.

— Tylko z musu?

Pokręciła główką, niezadowolona z takiej odpowiedzi.

— Przyjemność obowiązkowa przestaje być przyjemnością — dodała. — Jestem grzeczniejszą od pana, bo wyznaję, że cwałowałabym bez znużenia dla samej rozmowy z panem.

— Zawstydz mnie ten komplement, sądząc wszelako, że tej drobnej rozrywki nie potrzebowalabyś pani okupywać aż tak wielkim wysiłkiem. Moglibyśmy rozmawiać w wygodniejszych warunkach, siedząc na miękkich fotelach w salonie pani rodziców.

— O, nie zawsze — przerwała dziewczyna — taka rozmowa ma dla mnie szczególniejszy urok. Czuję się swobodniejszą, nie mam około siebie kontrolujących spojrzeń mamy, sióstr, ludzi obcych... jak ja tego nie lubię! Nikt tu nie podsłucha słów moich, — wiatr je tylko porywa i unosi. Możemy rozmawiać o wszystkim bez obawy, że ktoś nadto domyślny zechce wysnuwać z tego jakieś wnioski. Ja o tylu zajmujących rzeczach miałabym z panem do pomówienia, o jakich w domu nie śmiem się nawet odezwać; zresztą u nas nie mówi się nigdy we dwoje. Mama z papą nawet nie rozmawiają sam na sam, a ja lubię mówić dużo, długo, przyjemnie, rozumie się, nie z każdym. Z panem idzie mi jakoś najłatwiej; nie uważałaś pan tego?...

— Ma to być dowodem zaufania?...

— Albo ja wiem!.. nie masz pan ochoty pogłupować trochę?...

— Owszem.

Dwa konie wyciągniętym klusem ruszyły z kopyta i rozmowa się przerwała.

Lekki wolancik, którym powoził Jerzbie, unosił panią Fiszbaumową z panią Odoniecką; za nimi ciężkie lando zajmowały dwie siostry bankierówny i Dziunia z boną; na końcu br. Krulle w pudermantlu, szkockiej czapeczce na głowie, angielskich rękawiczkach, przykryty od kurzu elegancką deką czerwonego koloru, jechał z teściem, we własnym powozie na żółtych kołach gumowych, i z wielką troskliwością trzymał na kołach stalowego koloru charciczkę, która wietrzyła od zżętych łąk powiewający zapach surowizny.

— Ta waryatka Ludwika zmęczy się tak, że

nie będzie mogła usiąść potem — mówił z grymasem bankier do zięcia, wychylając się co chwila z powozu, by zobaczyć, jak daleko przed nim wysunęła się para jeźdźców. — Lacki — to tegi kawalerzysta; on się jej nie da zjeść w kaszy. Czy ty nie uważasz, mój baronie, że ona mi coś zanadto chodzi koło niego?...

Krulle, poprawiając obrożę na drżającej Fły, spytał machinalnie:

— Kto papo?

— No, Ludwika... o kimże mówię? — zachechnął się Fiszbaum.

Baron zmrużył jedno oko i zrobił minę człowieka, zbudzonego z drzemki poobiedniej.

— A!... Ludwika...

— Cobyś ty powiedział, gdyby ona się jeszcze nim zajęła?... — zaczął znowu po chwili teść, czując widocznie potrzebę podzielenia się z kimś swymi myślami. — W tym wieku, to się dziewczętom w głowie pali — prawda?

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYSTAWA HYGIENICZNA w Warszawie.

(Dokończenie).

Największy ze szpitali cywilnych w Warszawie, szpital Dzieciątka Jezus, który w ostatnim dziesięciu lat rozwinął się pod wszystkimi względami, nie odpowiedział na wystawie oczekiwaniom tego, czego można było się spodziewać, po tak kolosalnej instytucji. W każdym razie zadano sobie niemało trudu, szczególnie zaś tablice żywienia chorych, opracowane przez specjalną komisję, przedstawiają bardzo interesujący materiał. Dyeta dla chorych, według dzisiejszego stanu nauki, więcej znaczy w leczeniu chorób, aniżeli lekarstwa, na które, jeszcze przed niedawnym czasem, główną zwracano uwagę. Dziś lekarz w szpitalu, zapisując choremu lekarstwo, może jednocześnie przepisać i stosowną strawę. Dziś kuchnia w szpitalu przygotowuje nie tylko dawniejsze *dwie porcje* dla wszystkich chorych, lecz zmieniła się niejako w kuchnię restauracyjną, z której lekarz może żądać dla chorego pożywienia stosownego do rodzaju jego choroby i przepisane lekarstwo.

Wśród przedmiotów wystawionych przez szpital Dzieciątka Jezus, spostrzegamy dokument pierwszego szczepienia ospy ochronnej. Oddział szczepienia tej ospy w szpitalu Dzieciątka Jezus, skutkiem starań Dra Polaka, sekretarza głównego wystawy higienicznej, zamienił się w instytucję nadzwyczaj pożyteczną, urządzoną według wymagań dzisiejszego stanu nauki, w której rocznie skutecznie się wielka liczba szczepień biednym. Zarząd szpitala wystawił jeszcze okazy ze swej kliniki diagnostycznej; wagę dziesiętną nowego systematu, sprawozdania roczne wydawane przez p. kuratora; historię szpitala Dzieciątka Jezus, przez Bartoszewicza i t. p.

Szpital dla dzieci wyznania mojżeszowego, fundacji małżonków Bersonów i Baumanów, wystawił łóżeczko żelazne bardzo porządnie zaślane, inhalator mosiężny do wziewań środków lekarskich, wanienczkę, wagę dla noworodków, lektykę i inne utensylia szpitalne.

Szpital Ewangelicki dał dwa łóżka żelazne; stół operacyjny, jakkolwiek nie najnowszej konstrukcji, jednakże wygodny do wykonywania większej części operacji, lektykę do przenoszenia chorych w pozycji siedzącej i lektykę dla chorych leżących, wreszcie proszek mięsny czyli ekstrakt wykonany w szpitalu. Napis objaśnia, iż z jednego funta wyżyłowanego i pozbawionego tłuszczu mięsa wołowego otrzymuje się 10 łątów tego pożywnego i łatwo strawnego preparatu. Mamy również i plany Szpitala Ewangelickiego.

Z lekarzy warszawskich najwięcej okazów wystawił dr Chwat. Widzimy tu rzeczywiście przedmioty i narzędzia bardzo ładne i mogące przy-

nieść pożytek chorym. Wspomnimy tylko o stole chirurgicznym, o bardzo wygodnym stoliku dla rekonwalescentów; przepysznie urządzone są irygatory dla chorych chirurgicznych do przemycania ran, dalej wózek do przewożenia lekarstw i materiałów opatrunkowych, antyseptycznych, i inne narzędzia i przyrządy własnego pomysłu.

Prawie wszyscy dziś wiedzą, jakim zmianom uległa metoda opatrywania ran w ostatnich dwóch dziesięciokach lat. Kto widział dawniej ranę opatrywaną szarpkami, kto przypomni sobie jej wygląd iporówna z dzisiejszą, opatrywaną sposobem antyseptycznym zapomocą waty i stosownych środków lekarskich, ten zrozumie doskonale doniosłość wynalazku d-ra Listera, Anglika, który tę metodę wprowadził i udoskonalil. Największe rany dzięki wacie zagajają się bardzo szybko, i to prawie bez ropienia, a temsamem daleko mniej wyczerpują siły chorego i zabezpieczają go w daleko wyższym stopniu od zakażenia krwi, które tak wielki procent z pomiędzy chorych chirurgicznych dawniej zabierało, i wreszcie rany nie wydają tak nieznośnego zapachu, jak to miało miejsce przy dawniejszym sposobie opatrywania.

Celem przygotowywania materiałów do antyseptycznego opatrywania ran, potworzyły się zagranicą liczne fabryki, z których do nas sprowadzano jeszcze doniedawna wielkie ich ilości.

Przed niedawnym czasem powstała w Łodzi podobna fabryka przez d-ra Bartkiewicza pod piękną nazwą „Valetudo“ i wystąpiła ze swymi wyrobami na wystawie higienicznej. Widzimy tu tedy wszelkiego rodzaju materiały opatrunkowe: waty hygroskopijne t. j. pochłaniające wilgoć, i wciągające bardzo chciwie płyny; począwszy od waty czystej t. j. niezaprawionej żadnym środkiem lekarskim, do najrozmaitszych odmian jako to: karbolowej, jodoformowej, sublimatowej, salicylowej, z kwasem bornym i inne z najrozmaitszym procentowym nasyceniem, watę żelazną i garbnikową do tamowania krwi; dalej: gazy, ceratki nieprzemakalne, i jedwabie wszelkiego rodzaju, a także plastry, tampony, bandaż i t. p. Wszystko przepiękne i sumiennie wykonane, tak, że dziś stanowczo nie potrzeba na te przedmioty wysyłać pieniędzy do dbających o nasze zdrowie rodaków p. Bismarcka.

W dziale szpitalnym znajduje się prócz wymienionych bardzo wiele okazów; niepodobna jednakże każdego z osobna szczegółowo rozbiierać. Wspomnimy tylko jeszcze o szafce d-ra Forstera z Białego Stoku, wypełnionej wielką liczbą aparatów i narzędzi jego własnego pomysłu lub udoskonalonych, nagrodzonych na wystawach zagranicznych i opisanych w tamtejszych czasopiśmie lekarskich i w naszej *Gazecie Lekarskiej*.

Zpośród 23-ch okazów pomieszczonych w tej szafce, wspomnimy tylko o bakterjometrze; jest to aparat do ilościowego badania powietrza ze względu na bakterie działający samodzielnie zapomocą stosownego mechanizmu, wykonany u A. Trope w Białym Stoku. Widzimy tu także podobny aparat ręczny i Bakteryoskop aparat kieszonkowy do jakościowego badania powietrza co do zawartości w niem bakterii i t. p. Trzeba przyznać w tym kierunku d-rowi Forsteterowi bardzo wiele inwencji.

Dr Malcz pomieścił w swej witrynie kilka aparatów inhalacyjnych do wziewania w płuca różnych środków lekarskich i do dezynfekcji pewnych przestrzeni pokoju i sal szpitalnych.

Panowie dentyści warszawscy powystawiali w swych witrynach i całych pawilonikach (A. Walter) prawdziwe cacka dentystryczne, — wszystko to piękne, nawet za szkłem *nie bardzo nieapetyczne*, czyściutki, — kauczukowe, celulozowe, platynowe i złote, a jednak... wolę swoje, chociażby trochę szerniałe i starte...

Komitet szpitalny postarał się o zgromadzenie sprawozdań, planów i t. p., których znajduje się na wystawie wielka ilość. Widzimy tam również mapę Królestwa wykazującą miejscowości posiadające szpitale, — ułożył ją i wykonał dr W. Lubelski, przewodniczący w tym Komitecie.

Ponieważ, ten prześladowany wystawę od dnia

jej otwarcia, deszcz jeszcze nie ustał, zajdźmy więc do sekcji *paszowytniczej*, mieszczącej się w pawilonie głównym, zaraz na prawo od wejścia. Przybyliśmy dla obejrzenia tego, czego nie widać, a co, że jest, nauka za pośrednictwem mikroskopu i stosownych odczynników wykryła. Sposoby wykrywania i hodowania bakterii, które dziś uważają za jedynych sprawców chorób zaraźliwych, są bardzo żmudnymi i — bądnym szczerzy, — nudnymi. Po wielu manipulacjach na szkiełku pod mikroskopem powiększającym parę tysięcy razy dostrzeżesz, szanowna czytelniczko, coś zabarwionego kolorem stosownym, albo w postaci laseczki albo w postaci przecinka. Oto i wszystko. Pierwszy naprzykład może spowodować *tylko* suchoty płucne a drugi *zaledwie* cholera, — no, czy warto im dłuższy czas poświęcić; a jednak zdaje się, że tu jest alfa i omega przyczyn chorób zaraźliwych. Więc ta kolekcja epruwetek z płynami, w których widzimy trochę osadu, albo ten rozcięty kartofel, na którym trochę pleśni się zgromadziło, wreszcie to kwadratowe szkiełko, na którym widzimy małą pałeczkę, to owoce długoletniej pracy i sumiennych studiów takich badaczy, jak Pasteur, Koch i t. p. Doprawdy nie podobna nie dziwić się temu i nie oddać należnego hołdu i naszym młodym uczonym, którzy idą na przebój za pionierami nauki. Z ich liczby wymienić wypada d-ra O. Bujwida, który w innym miejscu pawilonu głównego urządził gabinet dla doświadczonych pasteurowskich nad szczepieniem jadu wścieklizny i w oznaczonych godzinach udziela w nim objaśnień w tym przedmiocie, licząc gromadzącą się publiczność.

Nauka, dobiwszy się po długich mozolach przyczyn chorób zaraźliwych, które są bakterie, bacylle, wszelkimi siłami skierowała się do wykrycia sposobów tępiących je, zarówno we wnętrzu organizmu jak i na zewnątrz niego, gdzie one w wodzieniu chorych, naczyniach, odpadkach a także w wodzie, kurzu, ziemi i powietrzu — żyją, rozmnażają się i mogą przenosić się na ludzi. Wewnątrz organizmu zabija się je rozmaitego rodzaju truciznami, niesprawiającymi człowiekowi szkody; na zewnątrz zaś zapomocą tak nazwanej dezynfekcji. Najpierwszym środkiem dezynfekcyjnym jest tak nazwana wentylacja, t. j. ułatwienie przystępu świeżemu powietrzu, resp. tlenowi, który powstrzymuje kiśnienie i gnienie, temsamem zabija i nie dopuszcza rozwoju bakterii. W oddziale budowlanym znajduje się kilka przyrządów wentylacyjnych, lecz jako nie specjaliści, zmuszeni jesteśmy opis ich pominąć.

Z matematyczną ścisłością, — że się tak wyrażymy — zabija i niszczy bezpowrotnie bakterie, naturalnie, na pewnych ograniczonych przestrzeniach, wysoka temperatura t. j. sięgająca poza 100° C. Urządzenie komór dezynfekcyjnych, polega właśnie na tej zasadzie i widzimy je na wystawie. Wystawcami są: warszawskie biuro techniczne, Geber dawniej Judlin, Matecki i Obrębowicz i t. p. Nie mamy dosyć słów zachęty, aby pościel, pieliznę, ubranie chorych na szkarlatynę, tyfus, dyfteritis i t. p., posyłać do podobnych komór, gdyż tylko po dezynfekcji w nich można być pewnym, że zarazek nie przeniesie się na zdrowych. Wszystkie inne środki są tylko półśrodkami. Mianowicie mamy tu na myśli tak nazwaną dezynfekcję chemiczną, która na wystawie naszej pod względem naukowym opracowaną została przez pp. Praussa i Flamma, a także przez p. Wawrzyńca Trzebińskiego.

Aptekarz p. Rutkowski wystawił dwie szafy z ugrupowanymi środkami chemicznymi, służącymi do dezynfekcji. Część instrukcyjna opracowaną została w oddzielnej broszurze p. t. *Czem i jak dezynfekować należy* przez pp. d-ra L. Nenckiego, Praussa i Flamma. Z książką tą zapoznać się winien każdy, kto chce wiedzieć: w jaki sposób niszczyć owe grzybki chorobotwórcze.

Przejdziemy teraz na chwilę — naturalnie, pod parasolami — do pawilonu żelaznego N 3 dla przyjrzenia się pięknym okazom pp. Perkowskiego i Rozpendowskiego — surowych materiałów służących do fabrykacji farb. Szczególniej nauczającą jest kolekcja epruwetek z farbami anilinowymi i tablice według powszechnie przyjętego podziału farb na trujące i nieszkodliwe. Z wyka-

zów fabrykacji pokazuje się, że najpiękniejsze barwy pochodzą z ochry, z chromianu zwanego „chromgelbem“, z ultramaryny, karminu, fuxyny, która stanowi podstawę dla tak pięknych barw anilinowych; gdy tymczasem daleko bledszymi są barwy materiałów nieszkodliwych. Warto jednakże wyrzec się jaskrawości koloru dla uniknięcia zatrucia krwi aniliną, warto nosić trochę mniej barwną sukienkę, pończoszki i t. p., i mieć zato naturalną zdrową cerę a nie być zmuszoną do reparowania jej pudrem, blanszem i... t. p.

Musimy tu kilka słów powiedzieć także o higienie wychowawczej. Stosuje się ona do człowieka będącego w niemowlęctwie, w wieku dziecięcym i w pachołecym, to jest wówczas, kiedy człowiek jeszcze nie kieruje się własną wolą, kiedy podlega szkodliwościom, których wina ciąży na starszych, a które mają niewątpliwą wpływ na całe życie. Dlatego w żadnym kierunku higiena nie ma tak doniosłego celu do spełnienia, jak w tym. Zadaniem higieny wychowawczej jest czuwanie, aby dziecko rozwinęło się zdrowo, zarówno pod względem umysłowym, jak i fizycznym. Co do pierwszego, to sprawozdanie moje z wystawy poprzedziła w „Bluszczu“ praca p. Nowickiego, ja zaś pragnę się przyjrzyć, temu co posiadamy na wystawie higienicznej pod względem fizycznym.

Niemowlę przy piersi powinno być karmionem mlekiem matki lub mamki, powinno być stosownie ubranem t. j. w ten sposób, aby odzienie nie krępowało zbytnio ruchów i nie przeszkadzało rozrastaniu się, które w pierwszych tygodniach postępuje bardzo szybko, i wreszcie ma być niemowlę trzymanem we właściwej cieplecie i czystości. Wiek dziecięcy wymaga również pieczołowitości pod względem pożywienia, odzienia i t. p. W wieku pachołecym, zechwila, gdy dziecko zaczyna się uczyć uczęszczać do szkoły, jednocześnie z rozwojem umysłowym należy zwrócić uwagę na rozwój fizyczny, czyli postawić dziecko w takich warunkach, aby szkoła, nie tylko nie wywierała wpływu ujemnego na jego zdrowie, lecz, przeciwnie, aby rozwijała siły fizyczne i zmysły uczącego się. Głównymi warunkami tego dobrobytu higienicznego w szkole są: jaknajwiększa ilość dobrego i czystego powietrza, stosowne ogrzewanie klas, czyli temperatura, dostateczna ilość światła słonecznego, właściwa budowa ławek szkolnych, stosowne oddalenie od tablic, na której nauczyciel pisze, i akustyka; izby poza godzinami klasowymi zaś wszelkiego rodzaju ćwiczenia gimnastyczne. Jeżeli powyższe warunki nie odpowiadają wymaganiom higieny, wtedy dziecko podlegać może cierpieniom płuc i serca, skrzywieniom systematu kostnego, chorobom oczu i uszu.

Model szkoły (wielkość naturalna), jaką wystawiono na placu wystawowym, odpowiada pod wszystkimi względami wymaganiom higieny. Jest w niej dużo powietrza (naturalnie nie wtedy, gdy kilka tysięcy osób ją zwiedza), doskonale oświetlenie, odległość tablic i katedry właściwa, ławki wygodne i takiej budowy, że uczeń, siedząc przez kilka godzin dziennie na niej, pisząc, czytając lub słuchając wykładu nauczyciela, nie nabawi się choroby organicznej, ani zmian chorobowych w szkielecie.

Jak dalece niewłaściwa pozycyanczność w szkole wpływa na kręgosłup i łopatki, wykazują to dowodnie fotografie wykonane w zakładzie p. p. Karoli i Pusch na zlecenie Dra Jasińskiego i przez tego ostatniego wystawione. Kto się im przyjrzał, ten zrozumiał doniosłość normalnej ławki i z pewnością nie pozwoli dziecku swemu dorobić się podobnego kalectwa. A gdyby to jeszcze przedstawiono, jakim zmianom ulegają skutkiem krzywego trzymania się organa wewnętrzne, jak wyglądają płuca, serce, wątroba i t. p., z pewnością nie oszczędziliby kilku rubli dla sporządzenia odpowiednich ławek zarówno w szkołach, jak i w domu.

Doktorowie Przybylski i Jasiński wystawili tablice do rozpoznawania kolorów, oraz oceniania siły wzroku, a także natężenia światła: ułożenie prawidłowe kajetów na ławkach i przyrząd do prostego trzymania się, konserwy i t. p. Doprawdy, strach pomyśleć: ilu to ludzi dziś cierpi na krótkowzroczność (myopia), ile dzieci dziś nosi okulary, binokle i t. p., których nasi przed-

kowie zaczęli dopiero pod starość używać. Jedną z przyczyn krótkowzroczności jest niehigieniczne urządzenie szkół, a także niewłaściwe oświetlenie pokoi, gdzie dzieci odrabiają lekcje. W pokojach tych w dzień jest szaro, a w nocy przy oświetleniu migocącą świecą lub gazem, kiedy indziej znów kopnącą lampą, światło jest tego rodzaju, że czytając lub pisząc przy nim kilka godzin, trzeba koniecznie nabawić się myopii. Dziecko, gdy musi pracować przy świetle sztucznym (lepiej wstać wcześniej i lekcji dokończyć rano), powinno mieć lampę o dużym jednym palniku, najlepiej z dwoma knotami, o szkle mlecznym, pokrytem niebieskim daszkiem, a nafta winna być jaknajczystsza.

Znajdujemy tu również ławki do użytku domowego, wystawione przez Dra Jasińskiego, i tegoż rysunki dotyczące gimnastyki domowej według metody Dra Seegera, a dalej plan mocowni publicznej, wypracowany przez komitet sanitarny Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego.

W budynku tym pomieszczenia się jeszcze w oddzielnych pokojach i infirmerya, kąpiel, miejsca istopowe i t. p., których opisywać nie będziemy, a którym przyjrzyć się nie zaprzeczenie warto.

Opuszczając wystawę, na której można bardzo przyjemnie, z powodu jej dekoracyjnego przybrania i z korzyścią z przyczyn nagromadzenia w niej wiele okazów naukowych, przepędzić, zajdźmy jeszcze na chwilę do gustownego pawilonu Dra Mączewskiego, gdzie odbywają się doświadczenia genialnego odkrycia Dra Jennera, dokonanego w 1796.

Za sztachetkami znajduje się dwoje cieląt, którym zaszczerpiono ospę na skórze brzucha; zjadł wprowadza się ją we włoskowate rurki i szczepi się następnie dzieciom. Dziś prawie wszyscy lekarze posługują się taką limfą ospową, a nie jak to jeszcze przed niedawnym czasem miało miejsce, kiedy szczepiono przeważnie humanizowaną t. j. z dziecka na dziecko. Być może, że mały pacjent przechodzi nieco większe cierpienia, lecz za to zabezpieczenie od dostania ospy naturalnej jest większem i uniknąć w ten sposób można przeniesienia takich chorób jak zółty, suchoty, (podobno) i t. p.

A teraz, na zakończenie mając wyrazić swój o odbywającej się jeszcze wystawie higienicznej, czuję się w obowiązku powiedzieć, że chociaż wiele jeszcze jej braknie, wiele pozostawałoby do zrobienia, to jednakże, jak na pierwszy raz, wystawa ta jest dowodem usilnej pracy i należy to, co nam dano przyjąć — jak powiada — z dobrodzieństwem inwentarza.

Dr. Józef Starkman.

List z Anglii.

D. 22 Czerwca 1887 r.

Piszę do was nie z Londynu, nie z Anglii, ale z jakiejś nadobłocznej, szczęśliwej krainy, gdzie polityka, handel, giełdy nie istnieją wcale, gdzie ludzie rządzą się tylko sercem, a stoją jedynie o siłę uczucia. Obchód pięćdziesięciolecia jubileuszu panowania królowej Wiktoryi dawał tu złuzlenie takie i dzień 21-go Czerwca pańskiego roku 1887, może być zapisany w kronikach naszego stulecia, jako świadectwo, że jednak nie samym chlebem człowiek żyje.

Jak wspaniałym był sam akt tego obchodu: jak królowa Wiktorya w pysznych szatach monarchini i z koroną na głowie, raz pierwszy od śmierci męża nie w żałobie, jechała z pałacu Buckingham do opactwa Westminsteru w galo-wej kolebce, zaprzężonej w sześć białych koni i mając wokoło siebie towarzyszący jej konno orszak królów i książąt, gdy czterdzięci takichże galoowych karet poprzedzało ją i jakoby czyniło jej miejsce — jak po nad tym korowodem świeciło jasne, niezamglone słońce, a tysiące, krocie ludzi, pomiędzy którymi byli Hindusi, Australczycy, zalegały ulice, podnosząc za zbliżeniem się królowej gorący okrzyk: „God save the Queen” —

wiecie już z dzienników, które was pierwsi dojsć mogą. Trzeba wam tylko poruszyć tak sobie wyobraźnię, aby przedstawiła ten nieporównany z niczem obraz, jak coś najparadniejszego, najuroczystsze przez bogactwo swoje i starożytny, średniowieczny charakter, którego Anglia więcej niż każdy inny kraj ściśle się trzyma w chwilach takich przez uszanowanie tradycji. Pochód zaczął się o godzinie 10-ej z rana; pierwsze powozy orszaku znalazły się przed starożytną świątynią Westminster o godzinie 11, powitane głośnie fanfarami wojskowej muzyki. Najpierw jechały te, które wiozły gości zamorskich, a między nimi pierwsza była Emma, królowa Hawai; dalej przybywali książęta europejscy według starszeństwa wieku, zabierając kolejno przeznaczone sobie miejsca, aż nareszcie przybyła królowa z orszakiem swoim królów i książąt krwi, a ogłuszający okrzyk, wydany przez tysiące piersi ludzkich i złączony z muzyką hymnu: „God save the Queen” rozlega się w powietrzu i echem potężnym odbija się o starożytne mury kościoła. Tu wszystkie nawy i galerie przepelnione są od dołu, aż do stropów, zalega je publiczność, zasiadająca ławki, ustawione amfiteatralnie, ale z ust nieczyich nie wydobywa się żaden głos, najwyższa cisza zalega świątynię, a zasnana bogatym kobiercem główna nawa kościoła, czeka wszaniałego orszaku, który tu wstąpi i wieść będzie królową Wiktoryą do przygotowanego dla niej tronu.

Naprzeciwko niego, na wysoko wzniesionym pomoście, stał chór śpiewaków: 300 osób, białe odzianych. Z prawej strony estrady tronowej mieścił się lord kanclerz państwa, w szkarłatnych aksamitach, mając obok siebie sześciuset lordów z ich małżonkami. Po lewej, z mównicy Izby Gmin na czele, stało 400 jej członków, także z kobietami rodzin swoich. Arcybiskup Canterbury przyjął królową u drzwi świątyni; przy uroczystych dźwiękach tryumfalnego marsza Händla orszak wkroczył do wnętrza i postępowal ku wielkiemu ołtarzowi. Królowa szła na czele, ale bez purpurowego płaszcza; ten leżał rzucony na tronie, na którym królowa zasiadła potem.

Nad klękającą na stopniach ołtarza wznosił arcybiskup błogosławiąc ręce. Obrzęd ten odbył się według rytuału Kościoła Anglikańskiego, poważnie, uroczysto. Gdy kapłan skończył słowa błogosławieństwa, w górze ozwał się chór trzystu głosów, śpiewając „Te Deum laudamus!” „Ciebie Boga chwalimy”....

Królowa w czasie śpiewu klękała na stopniach ołtarza, z rękami pobożnie złożonymi. Jest tak religijna, jak uczuciowa i zapewne modliła się szczerze, prawdziwie. Czy przypominała sobie tę chwilę, gdy młodzianka dziewczyną zgłębiała tak samo kolana przed tym ołtarzem i ta sama pieśń uroczysta rozlegała się wśród murów starożytnej, historycznej świątyni. Spojrzała zapewne w tył na ubiegłe lata życia, na jego marzenia i nadzieje młode. Nie zawiodły jej w obietnicach swoich, tak, jak ona nie zawiodła, a przynajmniej usiłowała nie zawieść nikogo, nie zbaczając nigdy, przez egoizm, lub niehamowaną namiętność na te bezdroża, gdzie się łamie obojętne, a depcze cnota. Że była wdową, że nosiła w sercu żal po drogim jej towarzyszu życia, to był tylko wynik naturalnego porządku rzeczy ludzkich—niestałych. Tracimy, tracimy coś ciągle idąc drogą życia; odchodzą nas powoli ukochani nasi i to jeszcze jest łaską Bożą, gdy nas nie opuszczają wiary młode, gdy się nie staniemy renegatami dla szlachetnych pragnień, dla szlachetnych ideałów młodości. Królowa Wiktoria pozostała przez całe pięćdziesiąt lat przebywania swego na tronie Wielkiej Brytanii kobietą wskroś uczciwą, prawa jej natura nie dała jej nigdy zboczyć na te manowce, gdzie rozstajemy się z godnością i klamiemy przysiężonym obowiązkom, i to jest ta tajemnica, dlaczego bez żadnych szczególnych zdolności i czynów wielkich, bez żadnych jakoby wielkich zasług, dla ojczyzny swojej położonych, zaskarbiła sobie tak ogromną miłość i popularność, zyskała tak wysoki szacunek narodu. Była królową cnotliwą, była na tronie przykładem czystego, bez skazy pędzonego życia—była kobietą zacną!

Po ukończonym ceremoniale religijnym królowa

zasiadła na tronie, mając podesłaną tam purpurę i gronostaje monarszego płaszcza i wtedy to rozpoczął się pochód książąt i księżniczek krwi, hołd jej składających. Przyklekano i odmawiano obowiązującą formułę, wyraz czci, wierności i posłuszeństwa, należnego głowie ukoronowanej starożytną koroną królów angielskich. Przy dźwiękach marsza z Atalii, królowa opuściła katedrę, która rozbrzmiewała wtedy hymnem: „God save the Queen.”

Wieczorem cały Londyn stanął w blaskach iluminacji, jakiej niełatwo sobie wyobrazić, bo zdawało się, że miasto całe goreje, taką była luna, bijąca na parę mil na około i unosząca się górą tak, jakgdyby była odbiciem olbrzymiego pożaru. W całej dzielnicy Starego Miasta (City) i West Endu, który zamieszkuje arystokracja rodu i pieniądze, ruch została wstrzymany od godziny 8 do 2-giej po północy, bo też fale ludu płynęły nie już chodnikami, ale środkiem ulicy: ciekawe, ożywione, tłoczące się przed każdym transparentem, każdym jakimś godłem, obrazem, kreślonym ognistymi liniami. Było to wspaniałe widowisko, ale więcej przez swoje rozmiary, niż przez artystyczne zalety. Nie zdobyto się na żaden oryginalny pomysł, i to tylko ochroniło całość od zupełnej pospolitości, że wiele rodzin arystokratycznych przedstawiło swe herby w oświetleniu lamp różnokolorowych. Brak artystycznego piękna czuć się dawał i w dekoracjach domów, tylko trzy łuki tryumfalne na Picadilly i iluminacja Banku Angielskiego stanowiły wyjątek. Tłumy też kupiły się tutaj—tłumy były wszędzie, wesołe, pełne dumnej fantazji, bo Anglik każdy, od para do wyrobnika, przejęty jest nawskroś uczuciem dumy narodowej i przejawia się ona zawsze wobec każdego dzieła, każdego wybitniejszego czynu jego narodu, z którym solidaryzuje się każda jednostka bez różnic stanów. To uczucie zbiorowości jest jedna i nienajmniejszą sprężyną potęgi angielskiej. Każdy Anglik gotów jest zawsze powiedzieć na podobieństwo Ludwika XIV: — Ja, to ojczyzna!...

Wśród ogólnej radości Anglików zaznaczał się przecież jeden rys posępny: gdzie okna pozostały ciemne, tam było mieszkanie Irlandczyka...

Tworzyło to na morzu jasności plamy czarne i plamą to jest czarna na dziejach panowania królowej Wiktorii, że nie uczyniła nic dla nieszczęśliwego tego kraju.

Za panowania jej potęgą Anglii na dalekich morzach i lądach wzmogła się do swego kulminacyjnego punktu. Dzierżawy angielskie znajdują się we wszystkich częściach świata, państwo angielskie obejmuje 400.000 mil kwadratowych ziem; ludność jego liczy się na 330.000.000 istot ludzkich, które słuchają rozkazów, wydanych w jej imieniu. Królowa Wielkiej Brytanii została Cesarzową Indii, ale w łonie tej potęgi jest jedna wiecznie otwarta rana—jest Irlandia, gdzie prawa są twarde i surowe, gdzie serca są zbolełe i w najświeższych prawach uczucia ludzkiego wciąż dotykane, i ztąd też wyszedł teraz wśród radości ogólnej, gorzki protest milczenia. Wprawdzie w Anglii korona panuje, lecz nie rządzi, a królowa Wiktoria, pilnując się najściślej przysięgi, wykonanej w dzień wstąpienia swego na tron, nie pokusiła się nigdy o podstawienie woli swojej w miejsce woli narodu. Niemniej nie okazała ona nigdy chęci żadnej ulżenia ciężkiej doli biednej Irlandii—Zielonego Ervnu, który ze swymi gwiazdami i galijską harfą w herbie, ze swą uczuciową, gorącą, zapalną duszą stanowi w stosunku do podbójczego plemienia Anglo-Saxonów przeciwieństwo najwyższe. To samo plemię to jest, które mordowało Słowian nadbańskich w wieku XIII, które ich chrzcilo chrztem krwi. Odmienność natury narodowej, narodowego gieniuszu sprawia to, że się te ludy ze sobą pogodzić, żyć nie mogą. Irlandia jest ostatnią placówką, gdzie jeszcze duch galijski protestuje i ustępować nie chce, a na nieszczęście przed samą uroczystością jubileuszu królowej uchwalono w Parlamencie okrutne prawa dla Irlandii. Jak wtedy Parnelliści, to jest narodowa frakcja przedstawicieli Irlandii, opuścili Izbę, której większość dała owym prawom sankcyę głosu swego, tak teraz Irlandczycy nie znaleźli się już

na wielkiem dla Anglii święcie jubileuszu królowej Wiktorii.

Że ta kobieta niewątpliwie dobrego serca i zacnego charakteru mogła pozostać tak obojętnie bierną w obec ciężkiej doli irlandzkiego ludu, trzeba sobie tłómaczyć dwoma powodami. Jest z jednej strony Angielką, córką wrogiego Irlandii plemienia—rasowe uprzedzenia, rasowe różnice charakteru nie dają jej zrozumieć Irlandii, nie dają jej uznać jej praw, odczuć jej krzywd—nie dają jej wysnuć sobie z serca nici tej sympatii, która potrzebna jest, aby uczucie przychylności powstać mogło. Z drugiej strony nie jest osobistością tak wysoką przez umysł, aby zdolna była się podnieść w sferę bezwzględnej już sadu o ludziach i wypadkach; ta ukochana Anglii monarchini nie jest wyższym człowiekiem—nie jest wielką kobietą...

— Jaktó — spytacie — a zkądże ta miłość, ta cześć, którą obudza nie tylko w rodakach swoich; ta sympatia Europy całej, która ją otacza?

— Jest kobietą cnotliwą, — jest kobietą czystego serca i życia; zasługi jej, jako takiej, są wielkie: czci, szacunku, wdzięczności jej narodu godne!...

Wielkość, myśli polot wzniosły, wysokie umysłu zdolności, nie są każdemu dane i nie mogą też obowiązywać każdego. To zaś, co taki obojętne stanowi, co ponad talent, naukę, ponad geniusz nawet się podnosi i w sądzie ludzi o ludziach na pierwszym miejscu stoi — to strona charakteru moralna: to cnota! to uczciwość!

Że ta cnota, że ta uczciwość nie nadaremnie jest przez ogół w jednostkach cenioną, że ma ona w stosunku swoim do tego ogółu, do powszechności swojej, znaczenie bardzo wysokie — znaczenie najwyższe, że jej użyteczność w skutkach swoich sięga bardzo głęboko w łono ludzkości, — dowodzi ta karta dziejów angielskich na których się zapisało pięćdziesięcioletnie panowanie królowej Wiktorii.

(Dokończenie nastąpi).

SPRAWOZDANIE

Z DZIAŁU WYCHOWAWCZEGO

NA WYSTAWIE HYGIENICZNEJ.

(Dalszy ciąg).

IV.

Opieka domowa nad dziećmi.

Taki tytuł dano w pawilonie szkolnym jednej z klas, w której rozłożono wszystko to, co ma związek z wychowaniem dzieci, poczynając od ich niemowlęstwa. Zostawiamy specjalnym sprawozdaniom ocenę wielu przedmiotów, dotyczących sztucznego karmienia niemowląt, okazanych tu przez Dr. Jasińskiego, jak niemniej ocenę czapek higienicznych i nie-higienicznych, tudzież rozpatrzenie tablicy wzrostu dzieci, przygotowanej przez Dr. Dudrewicza. Nie wątpimy, że sprawozdawcy higieniści zwrócą też szczególną uwagę na ubiory dziecięce, wystawione przez panią Weyssenhoff (Warecka 9), a wykonane podług wskazówek lekarzy, na wzór ubiorów angielskich. Jest to rzecz o tyle ważna, że ubiory dziecinne, powszechnie u nas używane, ze wszech miar są nie-higieniczne, podczas gdy trykotowe ubiory angielskie, pozbawione wszelkich guzików, farb jaskrawych, nie ścieśniają w niczem swobodnego rozwoju ciała dziecięcia i nie zabarwiają szkodliwie skóry.

Nie umiemy w tej chwili powiedzieć, jaką mianowicie sumę przedstawia, choćby w naszym tylko mieście, handel zabawkami dziecinnymi, chociaż stanowczo przypuszczamy, że musi to być potężna summa. Myślano u nas, a nawet poważnie myślano, o założeniu wielkiej fabryki zabawek, a przecież zabawki dotąd przeważnie z zagranicy do nas napływają, i to właśnie jest

poniekąd przyczyną, że na wystawie nie nagromadzono tego rodzaju okazów, a takim sposobem usunięto dział ten z pod opinii sędziów i krytyki; w następstwie czego wystawa hygieniczna w tym względzie nie może oddać społeczeństwu usługi przez zalecenie jednych, a potępienie innych zabawek. Jedną tylko znajdujemy tu firmę Krasnordębskiego, ale i ta przedstawia przeważnie przybory do gier i zabaw (o czym mówiliśmy już powyżej); zabawki zaś w mniejszym przedstawia wyborze, i to po większej części sprowadzane z fabryk zagranicznych.

Korzystniej przedstawia się dział zabaw i gier pedagogicznych.

Dobiega już właśnie 35 lat od czasu, kiedy firma Müllera rozpoczęła tego rodzaju wydawnictwa, których liczba dochodzi już do setki. Odnaczają się one (względnie, naturalnie, rzeczy biorąc) kierunkiem swojskim. Pomiedzy zajęciami Froeblovskimi, grami i lamigłówkami o charakterze kosmopolitycznym zasługują na uwagę, niektóre rzeczy oryginalne w pomysłach lub wykonaniu, jak niemniej wzory rysunkowe, zebrane z gmachów Warszawy. Ostatnimi czasy firma ta rozpoczęła z dużym nakładem wydawnictwo modeli gmachów Warszawy, których liczba doszła do dwunastu. Rzecz ta na szczególnie zasługuje uznanie, tem więcej, że p. Müller, dzieląc zdanie krytyki, domagającej się, aby układanie tych modeli nie było mechaniczną tylko zabawką, ale i rozumnym zajęciem, nie żałował kosztu na wydanie książeczki objaśniającej, przygotowanej przez specjalistę, architekta Kazimierza Kleczkowskiego, pod tytułem: *Model Michasia*. Książeczka ta, w pięknym wydaniu, z wielu drzeworytami, zasługuje na zaznaczenie; przyniesie ona znaczną pomoc przy wycinaniu z papieru i układaniu modeli gmachów starszym chłopcom, uczącym się już rysunków i geometrii. W związku z powyższymi są „Bryły Geometryczne, rozwinięte na płaszczyźnie”, które się ukazały równocześnie z otwarciem wystawy. Z wydawnictw tej firmy godne są jeszcze zaznaczenia: Ogródek Froeblovski, Mozaika, a nadewszystko Budowniczy Szwajcarski.

Od pewnego czasu zyskała sobie szeroki rozgłos firma *Wiśniakowskiego*, przyczyniając się do ogólnego rozpowszechnienia wydawnictw tego rodzaju. Firma to młoda wprawdzie, ale ruchliwa, a jedyny zarzut, jakiby jej uczynić można, jest to zbyt pochopność do rzeczy zagranicznych. Przytem ceny, niektórych zwłaszcza przedmiotów, wydają się nam nieco wygórowanymi.

W każdym razie przynależą do tego, że p. Wiśniakowski idzie naprzód szybko i wytrwale, licząc się z jednej strony z wymaganiami publiczności, a z drugiej z warunkami pedagogicznymi. Firma ta nie może się skarżyć na obojętność ogółu; nie zawadziłoby przecież, aby specjaliści więcej niż dotąd zajęli się tą sprawą, wskazując kierunek wydawcom, prostując niezawsze rozumne wymagania ogółu. Corocznie syją się jak z rogu obfitości nowe podarki dla diatwy i dla starszych nawet; niektóre z nich zalecić się godzi: Zoologia plastyczna, Loteryjka historyczna, Układanie figur w liniach prostych, Modele brył geometrycznych, Czy znasz swój kraj? Podróż pożyteczna, Mozaika, Architekt, Domino owocowe, Kwiaty i inne. Zasługuje też na uwagę Mapa poglądowa głównych postaci powierzchni ziem. (Niektóre zabawki i gry pedagogiczne Wiśniakowskiego oceniono w Roczniku Pedagogicznym r. 1884 str. 355 i następ. tudzież w Przeglądzie Pedagogicznym r. 1886 str. 25 nst.).

Zasłużył się też publiczności p. Leopold Szyllera nietyle przez wydawnictwo „tanic” gier towarzyskich i pedagogicznych, nietyle przez książeczki do kolorowania i siatki do rysowania, nietyle zresztą przez „Zielnik”, a raczej terminologią do zielnika—ile przez prace literackie. Jako nauczyciel z zawodu, wystąpił on w swoim czasie z „Książką dla dzieci początkujących”, opracowaną wprawdzie na wzór elementarza Szulca, ale będącą w każdym razie wyrazem metody postępowej i znać odpowiadającą celowi, skoro w krótkim czasie miała dwa wydania, w r. 1862 i 1865. Żałować wypada, że późniejsze wydawnictwa pedagogiczne, lub książeczki ludowe

p. Szyllera, znamionujące talent nawet niejaki, dla braku opracowania w szczegółach tracą na porównaniu z innymi wydawnictwami w tym kierunku. Wyróżnić tu musimy „Szkolę pięknego pisania w VI zeszytach zastosowaną przez Szyllera”, jest to szczęśliwa modyfikacja znanej metody Dytrycha.

Powiedział Krasicki: „O Ryczywole, zamilczę cię”. Łatwo się domyśleć, że cytata ta stosuje się do „prześlicznych”, „złotych”, „kolorowanych”, „ilustrowanych” elementarzyków, przez firmy powyższe i wiele innych w znacznej liczbie produkowanych. Towar ten w wielkiej rozchodzie się liczbą, i byle był tani, kupił bez krytyki znajduje. Wołamy silnym głosem, wołamy w imię spopularyzowanych już dzisiaj nowych zasad metody, aby skończyć już raz z przedrukowywaniem przedpotopowych schematów elementarnych! Że można wydawać elementarze dobre i tanie, przekonał o tem wszystkich Konrad Pruszyński.

I znowu zaznaczyć nam przychodzi szczerbę w przedmiotach wystawowych: oprócz Müllera i Szyllera mamy w Warszawie wiele okazałych składów materiałów piśmiennych; a przecież ani firmy powyższe, ani żadna inna nie urządziła wystawy materiałów piśmiennych i przyborów rysunkowych, któreby pod względem praktyczności w użyciu i ceny przystępnej na wyróżnienie i rozpowszechnienie zasłużyć mogły, ale co więcej, któreby okazały się najgodniejszymi zaleceniami przez higienistów, jako odpowiadające wymaganiom stawianym dziś przez higienę szkolną.

Zabawki i gry pedagogiczne rozpowszechniają się wprawdzie pomiędzy publicznością; nie przyszedł atoli jeszcze czas na pomoce naukowe. Towar ten, tak potrzebny, nie znajduje popytu, a Warszawa nie ma fabryki ani sklepu specjalnego pomocy naukowych. Skromnie też bardzo przedstawia się na wystawie firma Grodzieńskiego, z modelami machin, pomiędzy którymi zaledwie parę, jak np. model maszyny parowej, może stać się pomocą przy wykładzie; inne zaś są to, albo też proste, pozbawione pedagogicznego znaczenia zabawki.

Właściwie bardzo miejsce na Wystawie zajęła księgarnia Arcta, przedstawiając w licznych szeregach „Systematyczny kurs nauk”, którego zasady położył nieodżałowany pamięci August Jeske przed 14-tu laty, i dzięki któremu rozpowszechniła się w kraju metoda poglądowa. Z ostatnich wydawnictw Arcta zasługują na uznanie: Atlas przyrodniczo-geograficzny i Gimnastyka bez nauczyciela i przyrządów.

V.

Ogródek dziecięcy. Pomoce naukowe. Sprzęty szkolne i ich związek ze zdrowiem młodzieży.

Dość wszechstronnie przedstawiono na wystawie ogródek dziecięcy, czyli raczej szkolkę w duchu Froebela. Już przed budynkiem szkolnym widzimy w dwóch klombach grządki, poodznaczane różnokolorowymi chorągiewkami, które pokazują, że każda grządka pozostaje pod opieką innego dziecka. W sali zaś szkolnej znajdujemy prawie całą jedną ścianę obwieszoną okazami, modelami i obrazami poglądowymi, tudzież wyrobami dzieci w duchu Froeblovskim; na stole zaś mieszczą się w gablotkach dary Froebela, jak niemniej rysunki modele i roboty dzieci w tymże duchu. Pośpieszamy uprzedzić, że nie myślimy tutaj stanowczo występować za lub przeciw Systemowi Froeblovskiemu. Na to potrzebowałyby większych rozpraw; liczymy się tylko z faktem szerokiego rozpowszechnienia ogródków, czyli szkolek dziecięcych, liczymy się także i z tem, co na wystawie okazano.

Wystawczynią jest tutaj p. Weryho, kierowniczka niedawno założonej przez siebie szkolki. Dobór przedmiotów, jak niemniej chętnie udzielane objaśnienia wystawczyni, dowodzą, że sprawa ta podjęta została u nas nanowo przez osobistość dobrze przygotowaną i liczącą się z potrzebami naszych dzieci, nie zaś ślepo naśladowającą Systemat Froeblovski, w tej lub innej książce znalezione. Przytem „Gimnastyka dla dzieci”

(Warszawa 1887 r.), ułożona przez p. Weryho, dowodzi, że dba ona bardzo o fizyczny rozwój młodocianych, wątlých, powierzonych sobie istot; bogactwo zaś nagromadzonych okazów do nauki rzeczy wskazuje, że zamierza ta kierowniczka nowej szkolki dziecięcej nie upośledzać umysłowego rozwoju dzieci kosztem nadmiaru wprawy ręcznej przy wykonywaniu rozmaitych zajęć Froeblovskich. Wróźmy dobrze zakładowi i życzymy, aby się najprędzej rozwinął; a doniosłość, wartość jego i kierunek będą mogli dobrze ocenić rodzice i specjaliści, gdy kierowniczka opracuje i rozpowszechni szczegółowy, rozumowy programat swego zakładu. Jest to tem konieczniejsze, że nawet ludzie, obeznani nieco z warunkami podobnej szkolki, znajdują pewną trudność w oryentowaniu się wobec niezbyt systematycznie ułożonych przedmiotów i wytworzeniu sobie przybliżonego pojęcia o stanie i pedagogicznej wartości reprezentowanego tu zakładu. Skoro np. w pierwszej gablotce z brzegu widzimy wzory rysunkowe i rysunki dzieci, a na przeciwnym końcu ściany wyginanie i wycinanie z papieru, gotowiśmy wnosić, że przedstawiająca się tu szkolka zaczyna od rysunku, a kończy na zajęciu z papierem; skoro tuż przy drugim darze Froebela (kula, sześciąt i walec), widzimy duże, i to w całkowitym prawie komplecie, bryły geometryczne, gotowiśmy sądzić, że tak zwana dziś „nauka o formach” zastosowywa się w zakładzie p. Weryho do dzieci kilkoletnich. Nie robimy z tego poważnego zarzutu, gdyż rozumiemy, że mogły tu nawet zachodzić trudności techniczne w rozłożeniu okazów; poważniejszy moglibyśmy postawić zarzut, że zniknęły tu jakoś najważniejsze i najwięcej nawet upowszechnione przez „Wydawnictwa zabaw i gier pedagogicznych” dary Froebela, jak układanie z sześciątów i tabliczek (dar 4, 5, 6-ty), gdy natomiast układanie z pręcików, modelowanie, tkactwo, wyszywanie, (temu ostatniemu nie przyklaskują okuliści) w całej rozciągłości zostały przedstawione. O zabawach ruchomych i grach dzieci w tym zakładzie także zwiedzający niedokładnie z tego, co tu widzą, mogą mieć pojęcie. Wypadało też, dla dokładności, przedstawić literaturę przedmiotu, jeśli nie w obcych językach, to przynajmniej w polskim. Wtedy damy przekonałyby się z dumą, że pierwsza broszura o metodzie Froebela: „Ogrody dziecinne”, przetłumaczona została na język polski przez kobietę, Xawerę Kunicyńską (Drezno 1864 r.).

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— *Schronienie nauczycielek* donosi w rocznym sprawozdaniu, co następuje: w ciągu ubiegłego roku przebywało w *Schronieniu* osób 98; obecnie pożyteczny ten zakład mieści 27 mieszkanek, zarząd i służba obejmuje osób 13. Koszt rocznego utrzymania jednej osoby wynosił 216 rs.; ogółem wydano 8,175 rs., że zaś dochodu było 9,862 rs., przewyżka ta, wraz z podobną przewyżką z roku przeszłego, tworzy razem na rok bieżący pozostałość 3,484 rs. Inwentarz *Schronienia* oceniono na 1,914 rs.

— P. Zofia Rakiewiczowa, żona nauczyciela szkoły realnej w Kaliszu, otrzymała nagrodę (rs. 60) na konkursie *Przeglądu Pedagogicznego* za najlepszą grę pedagogiczną. Rozstrzygnięcie drugiej części konkursu na książkę dla dzieci od lat 9—12 zostało odroczone z powodu, że nadesłano komitetowi konkursowemu jedną tylko pracę.

— Na konkursie *Gazety świątecznej* na powieść dla ludzi, otrzymała nagrodę p. Wanda z Dowgiełłów Trzcinska za powieść pod godłem: „Z morza”. Tytuł jest: *Przygody Mateusza Jarząbka*. Nagroda wynosi rs. 100. Sąd konkursowy składali: A. Bądzkiewicz, M. Brzeziński, J. K. Gregorowicz, W. Korotyński, F. Łagowski, A. Pu-

ławski, A. Zakrzewski. Do druku polecono powiastki: *Doktorka, O Kubie mądrali, Grzechy gromadzkie, Gosi Barnaby*.

— Szkoła kucharek ma być otwartą w mieście naszym przy jednej z tanich kuchni. Inicytorem jest p. Lewandowski, stojący na czele instytucji. Podobne szkoły gotowania mieszczą się w Lipsku i w Berlinie przy restauracjach kobiecych, które są właściwie taniemi kuchniami dla kobiet.

— Na *Wystawie Wileńskiej* otrzymały w dziale drobiu medal srebrny pp. Marya i Jadwiga Jełowickie, w dziale przemysłu domowego tkania medale brązowe przyznano trzem wystawczynom: Aleksandrze Balkiewiczowej, Maryi Liczkunowej, Kamalii Sakielowej. Z nagród pieniężnych otrzymały po rs. 5: Barbara Markunasowa, Rozalia Słozowa, Elżbieta Szydalisowa. Rs. 4 otrzymała Anna Norejkowa; po rs. 3 otrzymały: Anna Gajewiczowa, Barbara Bigajtysowa, Maryanna Gajewiczowa, Joanna Raskusowa, Tekla Stenkujtysowa, Emilia Szawelska. Pochwały przyznano: Juliannie Bardównie, Eleonorze Kondratowiczowej, Katarzynie Klimaszewskiej, Rozalii Kałolewiczowej, Barbarze Hasewiczowej, Maryannie Gajmonowej, Annie Lawrynajtysowej, Annie Możejkowej, Joannie Petrajtysowej, Annie Rudzińskiej, Emilii Szwałkowskiej.

P. Ejdrygiewiczowa nadesłała 18 butelek wina śliwkowego, renklodowego i jabłkowego.

W dziale sędziów, znajdowały się dwie panie, sądzące przemysł domowy: p. Jaroszyńska i p. Kamińska Konstancja.

— Zmarła we Lwowie filantropka, Ludwika z hr. Duninów Borkowskich Niezabitowska, cały, ogromny swój majątek zapisała na cele dobroczynne. Rodzina otrzymała tylko legata pojedyncze.

— Na Paryżkiej Wystawie Sztuki otrzymała medal klasy 3-ciej p. Anna Bilińska za swój portret. Odnaczenie to, najwyższe z udzielonych kobietom, otrzymały także: M-elle Rougier, Francuzka i Miss Gardner, Amerykanka. Wzmiankę zaszczytną otrzymało wystawczyń 4: M-me Enault i M-elles Liquer, Pomey i Pharaon. Wystawczyń naszych było: w dziale portretów rysowanych dwie: Helena Dukszyńska i ks. Jabłonowska; w dziale rycin jedna: Płużańska. W dziale rzeźby wystawiły popiersia w medalionach panie Certywistówny.

— Irlandka z rodu, miss O'Sullivan, nauczycielka języka angielskiego w szkole Paryżkiego Stowarzyszenia Filotechnicznego, wykładająca zarazem na kursach, które miasto Paryż utworzyło od lat kilku dla dorosłych: „Cours d'Adultes de la ville de Paris“ zwróciła uwagę paryżkich władz szkolnych, że kobieta z ludu potrzebuje również oświaty, a jednak nie otrzymuje takich pomocy, jakie rząd zapewnia mężczyznom. Ofiarowała przytem bezpłatne udzielanie lekcji języka angielskiego na kursach dla dorosłych kobiet, gdyby miasto urządziło takowe, co przyjętem zostało, a dobry przykład pobudził ofiarność w innych sercach kobiecych. Naukę języka francuzkiego przyjęła na siebie Marya Bressox, Ludwika Bignon nauk przyrodzonych, i stworzyły się w ten sposób, utrzymywane staraniem Stowarzyszenia Filotechnicznego, *wykłady dla kobiet dorosłych*, a miss O'Sullivan posiadająca już od r. 1875 za pedagogiczne swe zasługi naukowy stopień: „Officier de l'Académie“ obecnie posunięta została na wyższy stopień: „Officier de l'instruction publique.“ Jest w życiu tej kobiety szczegół, który ją czyni szczególnie sympatyczną: pochodziła z rodziny zamożnej, lecz zruinowanej przez narodowy ruch irlandzki w roku 1848, gdy w Du-

blinie pracując na utrzymanie starego ojca, walczyła z nędzą, wysoko położona dama, Angielka, zapagnęła dać jej miejsce nauczycielki dzieci swoich na warunkach, zapewniających pewną za- możność jej i ojcu; ona przecież odrzuciła propo- zycję, tłumacząc się, że „gorzko jest jeść chleb wroga.“ Puściła się do Paryża z bardzo małym zasobem grosza, młoda i samotna, piękna w do- datku, potrafiła sobie wyrobić położenie dosta- tnie i cześć ludzką, do śmierci ojca pracując na niego. Dziś już ojciec ten dawno nie żyje, a ona nie jest kobietą młodą, lecz otacza ją wielkie uzna- nie, a serce nie cierpi na ciężką boleść próżni, bo je zapewnia miłość ubogiego. Jest szczególnie dobroczynną przyjaciółką dziewcząt samotnych.

— Francuzka p. Marya Rog przedstawiła pa- ryzkiej Akademii Medycznej dzieło: „Considera- tion sur l'allaitement de l'enfant nouveau-né.“

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Historia życia i czynów księcia Bismarcka**, ukazała się w Paryżu. Książka wyszła z pod pióra kobiety, Maryi Dronsard, pisana tak do- brze, że nawet krytyka niemiecka w wyższych swych organach przyznaje jej tę sprawiedliwość. Nie jest to dzieło głębokie, ale książka, dająca czytanie zajmujące, pełna werwy a przytem i te- go szlachetnego uczucia, które rozumie dotąd uczciwy patriotyzm iść może, a gdzie zatrzymać się musi.

— **Sedan, upadek drugiego Cesarstwa Fran- cuzkiego**, dzieło angielskiego pisarza, Jerzego Hooper, wyszło świeżo w Londynie z mapami ka- żdej pojedynczej części walki, obok jednej, wiel- kiej, która całość planu bitwy przedstawia. Znaj- dują się tam nowe, nieznane szczegóły intryg i tajemnic, politycznych działających wkoło Napo- leona III.

— **Czarny gabinet**, to tytuł książki wydanej w Paryżu przez hrabiego d'Hérison, z papierów dyrektora francuzkiej policji za Restauracji, ba- rona Mounier. Są tam sekretne raporta i prze- mowane listy, dotyczące się Ludwika XVII, Ma- ryi Ludwika, Napoleona. Między temi papiera- mi znajdują się jakoby dowody, że Naundorff, podający się za syna nieszczęśliwego Ludwik XVI, był rzeczywiście Delfinem Francji, choć drugo- stronnie dokumenta zebrane przez historyków Rewolucji Francuzkiej dowodzą, iż umarł on pod ręką swego kata, szewca Simon. Że biuro policji sekretnej nosiło nazwę: „Cabinet noir“, ztąd ty- tuł książki.

— **Między ofiarami pożaru** paryżkiej Opery Komicznej, znajduje się członek ambasady au- stryackiej, który niegdyś uratował się z podobnej katastrofy wiedeńskiego Ring-Theater. Ale teraz był z żoną i niezdolał ubronić dwóch istnień.

— **Muzyka Wagnera** coraz więcej przekracza granice Niemiec i staje się europejską. Po bur- liwym przedstawieniu paryżkiem Parsiwała, przy- szło d. 25 Maja w londyńskim teatrze Dryrylane przedstawienie „Lohengrina“, wykonane pod dy- rekcyą Włocha, Carlo Rosa, i zostało enzyasty- cznie przyjęte przez angielskich melomanów. Francuzka śpiewaczka, Marya Rose, przedstawi- ła rolę Elzy z wielkiem powodzeniem, tak pod względem śpiewu, jak gry.

— **Posąg Haydna**, został odkryty w Wiedniu, przy wielkim zgromadzeniu miłośników jego mu- zyki, przybyłych ze wszystkich stron Niemiec. Posąg jest dziełem austriackiego rzeźbiarza Netter. Jozef Haydn, jak dowiodły ostatnie je-

go życiorysy, był Słowakiem i dlatego w jego utworach znajduje się tak wiele motywów sło- wiańskich. Słowackie jego nazwisko jest *Pisnik*.

— **Wesele na Awentynie**, rzymska tragedia Heysego, została wystawiona na scenie Berliń- skiej i Drezdeńskiej.

Obraz Munkaczego: „Ostatnie chwile Mozarta“ został kupiony przez Amerykanina, Generała Al- ger za 10,000 funtów sterlingów; wielka summa, przecież inny, dawniejszy obraz tego malarza, „Córki Milona“ został drożej zapłacony i był też dziełem doskonałym.

— **Góra Chimborasso** najwyższy szczyt Kordy- lierów w paśmie Ecuador, była dotąd górą dzie- wiczą, której nie deptała noga człowieka, aż do- konał tego w Kwietniu bieżącego roku śmiały podróżnik Lhympier. Potrzeba mu było dziesię- ciu dni, aby od Rio Bamba, o dwie trzecie drogi wzwyż, do celu swego dobieć. Wielki wicher po- tęgował jeszcze trudności i niebezpieczeństwa drogi. Na szczyt góry termometr Fahrenheita pokazywał 11 stopni. Lhympier nie znalazł kra- teru żadnego wulkanu. Góra ma dwa wyniosłe szczyty, z których jeden wznosi się na 21,982 stóp nad poziom morza, to jest na 12,000 stóp nad dolinę Quito.

NOWE KSIĄŻKI.

Burzyński K., Tahir-Bej, powieść ze wspomnień życia obozowego, 2 tomy, rs. 1 k. 50.

Bykowski Jaxa Piotr, Konkurencja kasztelanki, opowia- dowanie z przeszłości, rs. 1.

— **Memoryalik palestranta trybunalskiego**, rs. 1 k. 50.

— **Ostatni sejmik województwa bractawskiego**, rs. 1.

Chmielowski Piotr, Adam Mickiewicz, zarys biograficz- no-literacki, 2 t., rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 k. 60.

Gawalewicz M., Gasnąca dusza, powieść, rs. 1.

Grudziński J., Nowelle, rs. 1 k. 50.

Jeske August, Metodyczna geografia (Kurs elementarny z 20 dzeworytami w tekście, wydanie 4-te uzupełnio- ne, k. 70).

Jeż T. T., Lat temu dwieście, opowieść, na tle dziejów Kroacyi, rs. 1 k. 50.

Jokay Maurycy, Poruszmy z posad ziemię, rs. 1 k. 80.

Korzybski Habdank Wład, Melioracje rolne, rs. 3.

Kraszewski J. L., Męczennica na tronie, opowiadanie hi- storyczne, 2 tomy, rs. 2.

Krechowiecki Adam, Starosta Zygmuntowski, powieść histo- ryczna, 2 tomy, rs. 2 k. 50.

Laveleye E., Socjalizm społeczny, rs. 2 k. 40.

Leopardi Jakób, Wybór pism wierszem i prozą, w prze- kładzie Porebowicza, rs. 1.

Tak zwana emancypacya: a chrześcijańskie stanowisko nie- wiasty, w dwóch częściach historycznej i sprawozdaw- czej, przez ks. prałata A. L., 2 tomy, rs. 2.

OD WYDAWCY.

„Bluszczy” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenume- raty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce nu- merów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczy* dołącza się arkusz 14-ty powieści pod tyt.: **Konieczność**, przez M. E. Braddon; oraz arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabusson.

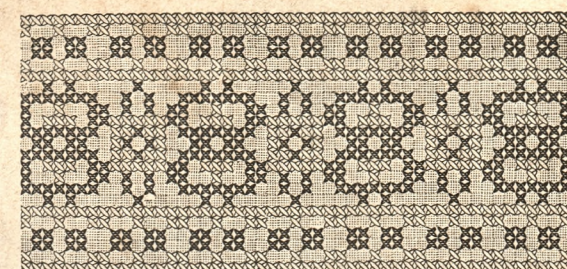
TREŚĆ: Do sztuki, poezya, przez J. Nitowskiego. — Zdrowe wychowanie i kształcenie umysłu, (dokończenie), przez Maryą Ilnicką. — Filistry, powieść (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — Wystawa higieniczna, (dokończenie), przez Dra J. Starkmana. — List z Anglii. — Sprawozdanie z działu wychowawczego na Wystawie higienicznej, (dalszy ciąg), przez Wł. Nowickiego. — Kronika działalności ko- biecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 14-ty powieści pod tytułem: **Konieczność**, przez E. Braddon; oraz arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabussona. — 32 wzorów ubiorów i robót z opisem Sekretu gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Доволено Цензурою. — Варшава, 17 Іюня 1887 года.



Nr 1 Szlaczek do serwetek dzieciennych krzyżową robotą. (Do ryc. 6).

Poduszka na meble ogrodowe.

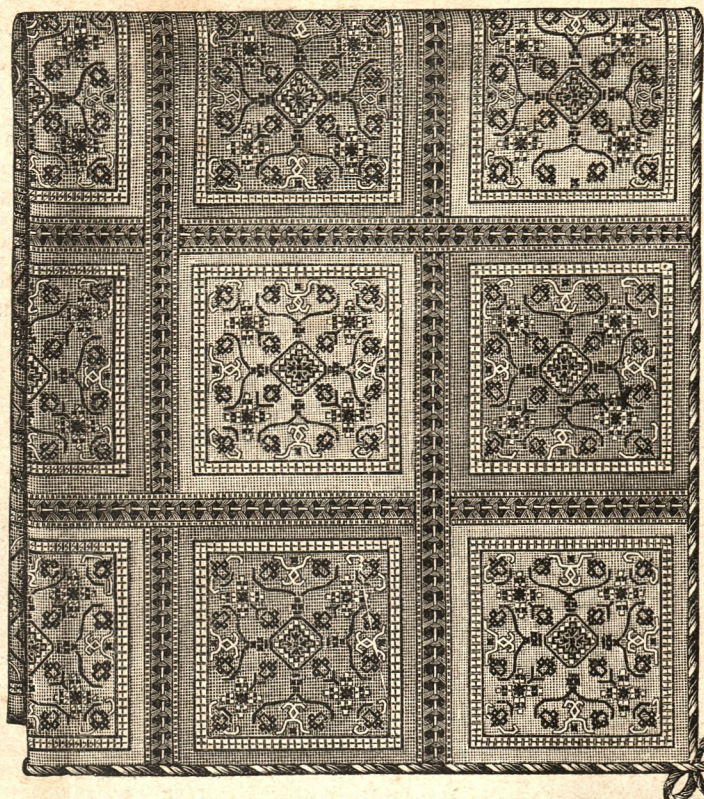
Rycina Nr 3, 4 w Bl. Nr 25 i 32 w Bl. Nr 26.

Poduszka 42 cent. duża, pokryta wierzchem z kanwy „Aida“ przerabianej złotem. Jedna ukośna połowa kanwy ozdobiona haftem, podług ryciny 4 wykonanym, druga połowa przezroczystą robotą szydełkową, z szafirowej, pasowej i szarej krętej bawełny. Tę ostatnią rozpocząć na założeniu długości poduszki. Kolej 1: Pierwsze oczko opuścić, * 1 ścis. ocz. w następne ocz., 4 ocz. pow., 2 podw. słup. po każdym 5 pow. ocz., 5 z rzędu ocz., 4 pow. ocz., 4 ocz. opuścić, od * powtórzyć. Kolej 2 szarą bawełną: 2 ocz. opuścić, * 6 ścis. ocz. w kolejne 6 ocz., 3 ści. ocz. w następne ocz., 6 ścis. ocz. w kolejne 6 ocz., 3 ocz. opuścić, od * powtórzyć. Kolej 3 szafirową bawełną: 1 podw. sł., w 4 z rzędu ści. ocz. poprzedniej kolei, * 4 pow. ocz., 3 o. opuścić, 1 ści. o. w najbl. o., 4 pow. o., 1 sł. podw. (górnej żyłki nie przerabiać) w 4 z rzędu oczko, 1 podw. słupek naprzeciw poprzedniego, z tym ostatnim przerobić, od * powtórzyć. Kolej 4 tą samą bawełną: * 2 podw. słup. w czubek górny poprzednich dwóch razem przerobionych, po każdym 5 ocz. pow., 4 pow. ocz., 1 ścis. ocz., 4 pow. ocz., od * powtórzyć. Kolej 5 jak 2, tylko nie należy wykonywać pierwszych 4 ścis. ocz. Kolej 6 jak 3 pasową bawełną. W dalszym ciągu powtarzać ciągle 1 do 6 kolei, nadając robocie formę trójkąta, przez stopniowe zmniejszanie ilości ząbków, aż do jednego. Brzeg ukośny zakończyć jedną koleją ścis. ocz. szafirową bawełną, poczem zamocowawszy robotę na poduszce, wykonać oddzielnie waziatki szlaczek, łączący dwie połowy takowej. Na odpowiedniej długości założeniu, należy pasową bawełną przerobić każde ocz. założenia, poczem ciągle naprzemian: 1 ścis. ocz., 1 pik. (to jest: 5 pow. ocz., 1 o. ścis. w 2 ocz. i 1 słup. w pierwsze z nich). Gruby sznur kolorowy i kwasty z bombelków, uzupełniają poduszkę podług ryciny.

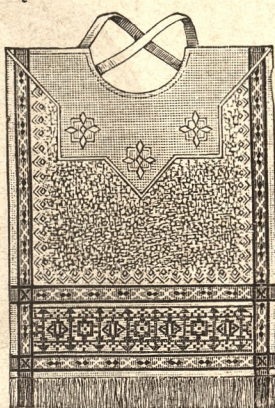
Serwetka dziecienna.

Rycina Nr 1, 2 i 6.

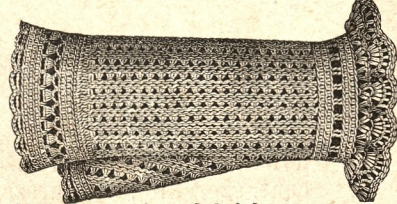
Serwetka z lnia-nej krepowanej tkaniny, 45 c. długa, 30 c. szeroka, z wrabianym szlakiem z kanwy „Aida“ na którym wykonany jest robotą krzyżową deseń podług ryciny 10 lub 11, pasową i szafirową bawełną. Do przywiązywania serwetki służą tasiemki.



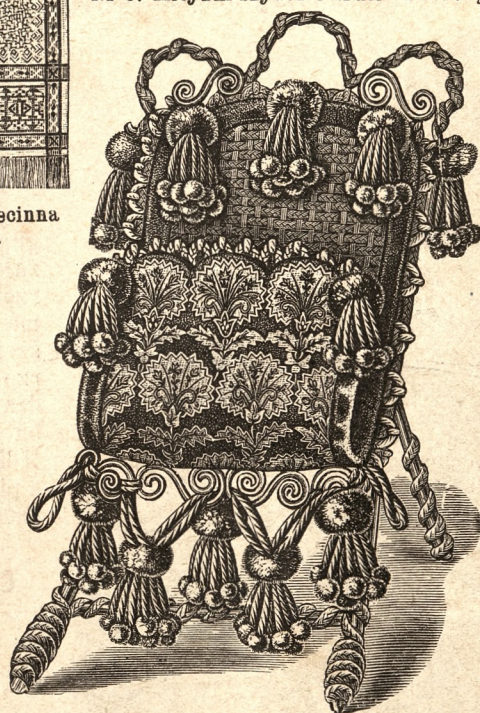
Nr 3. Serweta na stół ogrodowy (Do r. 4).



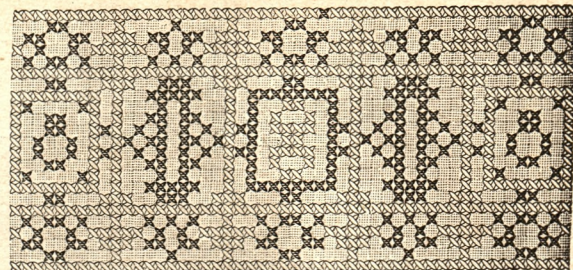
Nr 6. Serwetka dziecienna (Do ryc. 1 i 2).



Nr 5. Mitynki szydeł. i drutowa robotą.



Nr 8. Kosz na gazety i t. p. Deseń pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 29.



Nr 2. Szlaczek do serwetek dzieciennych robotą krzyżową. (Do ryc. 6).

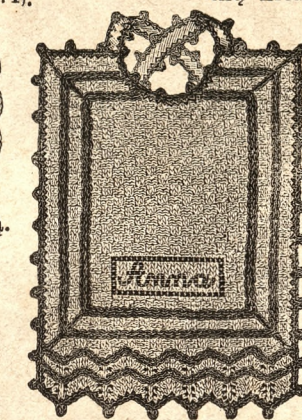
Serweta na stół ogrodowy.

Rycina Nr 3 i 4.

Serweta 128 cent. duża, złożona z kwadracików pasowych i szafirowych, 23 cent. dużych, połączonych ze sobą przezroczystym szlaczkiem. Na każdym kwadraciku wykonać haft podług ryc. 4, na pasowych białą i szafirową bawełną, na szafirowych białą i pasową. Szlaczek łączący kwadraty, wykonany jest z szafirowej kanwy bawełnianej, brzegi należy obdzierać pasową bawełną, środkowe 20 nitki wyciągnąć i krzyżując podług wzoru, przewlec przez środek jedną nitką pasową. Całą serwetę podszycie pasowym zapalem i otoczyć grubym sznurem wełnianym.

Teka na gazety, nuty i t. p.

Rycina Nr 8. Wzór pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 29.



Nr 7. Serwetka dziecienna szydełkową i drutową robotą.

Teka z lyczka i trzciny, ozdobiona haftem, tudzież kwastami i sznurami z włóczki. Po przeniesieniu na sukno stalowego koloru głównych konturów deseni, większe figury podkładać naprzemian niebieskim i ciemno-ceglastym sukniem, (mniejsze tylko ceglasm, poczem tło na wierzchu leżące, powycinać podług konturów rysunku, podszyc całą robotę muslinem, a następnie wykonać haft atłaskiem, tudzież gałazkowym ścięciem, niebieską, ceglasmą i czarną filozelą, oraz złotą nitką; wycięte kontury otoczyć sznurkiem z japońskiej przędzy. Po wykończeniu haftu, górny brzeg wyciąć w łuki, założyć na lewą stronę i przymocować do koszyka.

Kołnierzyk z żabotem z koronki i wstążki.

Rycina Nr 9.

Na kołnierzyk zapinany z tyłu, wykroić z petynety część 42 cent. długą, a 3 cent. szeroką, obszyć takową pukielkami 2 cent. wysokimi z wstążki jasno-lila z pikotowym brzeżkiem, przykryć szwy takąż wstążką i zamocować na tej ostatniej koronkę haftowaną białym jedwabiem. Złożywszy następnie we dwoje dwa końce koronkowe, 81 cent. długie, należy je

w połowie długości zmarszczyć i do kołnierzyka przyszyć, na 6 cent. od środka przodu, poczem utworzyć z nich rodzaj spiczastej kamizelki i przyodbić podług ryciny rozetkami z wstążki i wachlarzykami z koronki.



Nr 4. Połowa kwadratu do serwety ryc. 3 krzyżowym, smyrneńskim, pocztowym i Holbeina ścięciem.

Kołnierzyk z kamizelką krepową.

Rycina Nr 10.

Ukroiwszy z petynety kamizelkę 35 cent. długą, w górze 18 cent. szeroką, w środku nieco szerszą, u dołu spiczastą, pokryć takową jasno-różowym surah, a następnie krepą raz gładko, drugi raz układając takową podług ryciny w lekkie fałdy, 3 i pół cent. szerokie; plisowanie z krepy, ozdobione rozetkami i skrętami z wstążki różowej z pikotowym brzeżkiem, stanowi zakończenie prawej strony kamizelki. Kołnierzyk 4 i pół cent. szeroki, naszyty wstążką, w środku w głęboką fałdkę złożony, zapina się z lewej strony na hafteczki; rozetka z wstążki różowej, zdobi takowy podług ryciny.

Nr 11. Czepeczek z koronki i wstążki.

Rycina Nr 11.

Podstawę tego czepeczka stanowi 44 cent. wstążki różowej, 9 cent. szerokiej. Zmarszczywszy jeden brzeg wstążki, mocno ścią-

Nr 9. Kołnierzyk z żabotem z koronki i wstążki.



Nr 13. Kapelusz z angielskiej słomki.

Nr 17. Ubranie dla chłopcyka od 15 do 17 lat. (Do ryc. 21 i 22 w Bl. Nr 25). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig 1-13.

gnąć takową, brzegi tylne założyć i w ten sposób utworzoną główkę pokryć dwoma końcami koronki 10 c. szerokiej, założonej w górze na 3 cent. Na tylną draperyę czepeczka potrzeba półtora łokcia koronki. Kokarda z różowej wstążki z pikotami, zdobi bok czepeczka podług ryciny.

Czepeczek z koronki i wstążki.

Rycina Nr 12.

Czepeczek ułożony na podstawie z petynety, 8 w środku, z brzegów 4 cent. szerokiej, 31 cent. długiej, obszytej drucikiem i objętej jedwabną wstążeczką; końce podstawki połączone są przepaską 3 cent. szeroką, 15 cent. długą, brzegi zaś denkiem z petynety. Na wierzchnią część główki pozieszywać brzegami koronkę 6 centim. szeroką, którą należy ułożyć na podstawce obszytej plisowaną koronką. Kokarda z różowej wstążki repsowej, z grubymi pikotami, zdobi czepeczek podług ryciny.

Kapelusz z angielskiej słomki.

Rycina Nr 13.

Kapelusz z cienkiej żółtej słomki, z główką 16 c. wysoką i rondkiem wygiętem z przodu 7, z tyłu 3 c.



Nr 10. Kołnierzyk z kamizelką z krepy i wstążki

Nr 12. Czepeczek z koronki i wstążki.

Rycina Nr 15.

Kapelusz z cienkiej czarnej słomki z odwiniętem z lewego boku rondkiem, podszyciem aksamitem ciemno-zielonym. Kokarda z taśmy ryżowej, 8 cent. szerokiej, objętej z jednej strony zieloną wstążką morową i bukiet z róż uzupełnia kapelusz.

Nr 14. Kapelusz słomkowy

Kapelusz słomkowy.

Rycina Nr 16

Kapelusz ażurowy z pleśni koloru heliotropowego, podszycie kremowym surah. Rondko mocno wygięte, podszycie jest białą przezroczystą pleśnią słomkową. Stercząca egreta z piór ciemnowanych koloru kapelusza i kokarda z wstążki, z grubymi pikotami, zdobi kapelusz podług ryciny. Rondko w tyle podpięte jest bukietem z astrów.

Ściereczki do froterowania posadzeki.

Rycina Nr 23 do 25.

Ściereczki takie mniej więcej 54 centim. szerokie, 110 do 120 centim. długie, z włochatego materiału, znajdują się w handlu w rozmaitych deseniach i kolorach, w rzuciki, grekiji paski na białym lub innym tle.

Pulpit na książkę do czytania.

Rycina Nr 27. Deseń odwr. str. tabl. Nr XI, fig 57.

Pulpit z drzewa oprawny w skórę ozdobioną haftem i w atlas brązowy;

szerokiem. Rondko podszycie jest gładko czarną koronką w duże wzory, na 1 centim. od brzegu. Upięcie z czarnego tiulu koronkowego i bukiet z białego i tureckiego bzu, zdobi kapelusz podług ryciny.

Kapelusz z fantazyjnej pleśni słomkowej.

Rycina Nr 14.

Kapelusz z szerokiej grubej pleśni koloru miedzianego, podszycie pluszem tegoż koloru. Sterczący pęk piór strusich i czaplich w tym samym cieniu, tudzież kokarda z pluszu, uzupełniają kapelusz.

Kapelusz słomkowy.

Nr 16. Kapelusz słomkowy.



Nr 15. Kapelusz słomkowy.



Nr 18. Suknia z woalu. Opis odwr. str. tabl.

Nr 19. Suknia z kaszmiru i bengaliny. Przód. (Do ryc. 15 w Bl. Nr 25). Opis pier. str. tabl.



Nr 22. Suknia z satin-merveilleux i kaszmiru. Opis pierw. str. tabl.



Nr 20. Sakaia z faille. Opis pier. str. tabl.

Nr 21. Sakaia z wełny i repsa „ottoman”. Przód. (Do ryc. 14 w Bl. Nr 25). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 45-54.

kanty pulpitu objęte są brązowym pluszem. Przerysowawszy desę na ciemną skórę, należy kontury ponakłuwać w równych odstępach, cienkim gwoździkiem, a następnie wykonać haft kolorowym i złotym kordonkiem.

Ramka do fotografii.

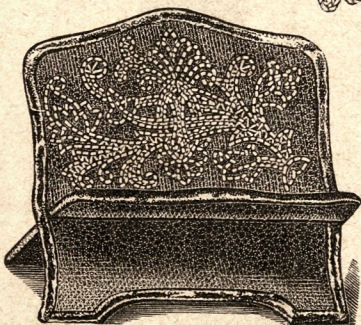
Rycina Nr 28.

Ramka w kształcie palmowego liścia z brązowej skóry przyozdobionej haftem i oprawionej w plusz. Otwór wykrojony w skórze na fotografię, podłożony jest grubą tekturą.

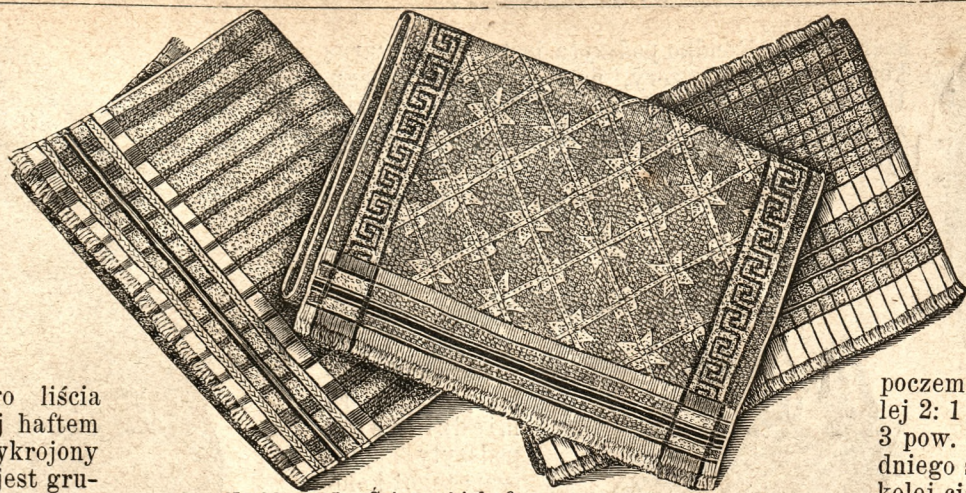
Wstawka szydełkową robotą.

Rycina Nr 31.

Wstawka z szarej krętej bawełny, złożona z gwiazdek połączonych ze sobą w jeden rząd i otoczonych z dwóch stron wąziutkim szlaczkiem. Każdą gwiazdę rozpocząć od środka; w 1 kolei 4 razy naprzemian: po 1 pętelle z 10 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 1 z nich, 1 pow. ocz., w końcu 1 ścis. ocz. łańc. w pierwsze ocz. tej kolei. 2 kolej: 1 ścis. ocz., 1 pół-sł., 15 sł., 1 pół-słup., 1 ścis. o., w pętelle najbliższą kolei poprzedniej, * 1 ści. o. w następne pojedyncze ocz., 1 ści. ocz., 1 pół-słup., 4 słup. w pierw. pow. o. następnej pętelle, 7 pow. ocz. spoić z 12 sł. poprzedniej pętelle, 8 ścis. ocz. z powrotem, 11 słup. 1 pół-słup., 1 ści. ocz., od * powtórzyć 2 razy, jednak w 2 powtórzeniu, pomiędzy 5 a 6 ścisł. ocz. wykonać 2 pow. ocz. i 1 pik (t. j. 5 pow. ocz. i 1 ścis. łańc. ocz. w pierw. z nich) 3 pow. ocz., 1 pik., 1 pow. o. 1 ści. łańc. ocz. w pierwsze o tej figury, w końcu 1 ści. o. w najbliższe pojedyncze pow. ocz., poczem 6 ści. o. łańc. w pierwsze 6 ocz. tej kolei, 7



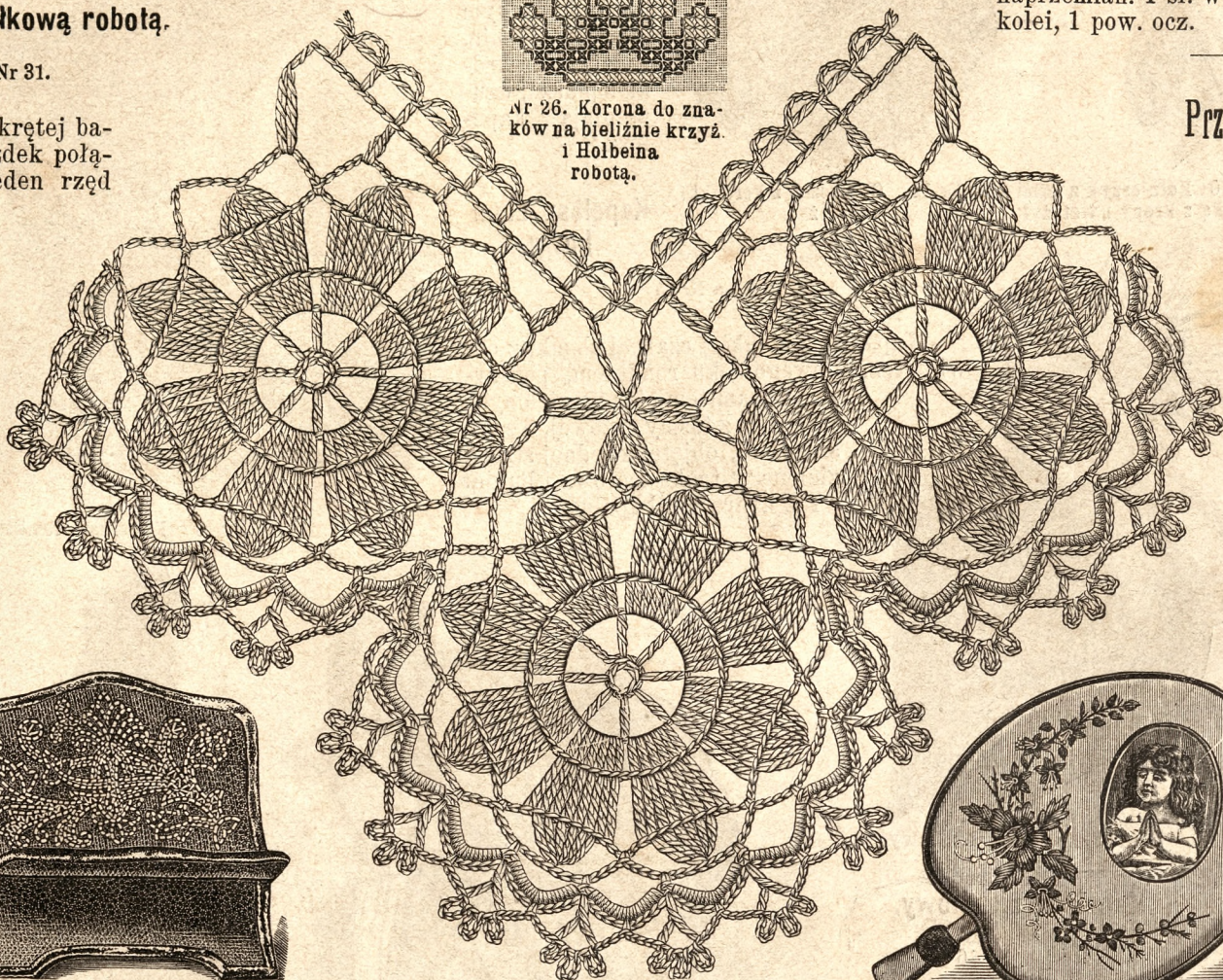
Nr 27. Pulpit do czytania. Desę odw. str. tabl. Nr XI, fig. 57.



Nr 22 — 25. Ściereczki do froterowania posadzek.



Nr 26. Korona do znaków na bieliznie krzyż i Holbeina robotą.



Nr 29. Narożnik do ryc. 30. Wielkość naturalna.



Nr 28. Ramka haftowana na fotografii.

pow. ocz. spoić z 12 sł. poprzedniej pętelle, 8 ści. ocz. z powrotem, przy czem między 5 a 6 o. wykonać pik. jak poprzednio. Wykonawszy potrzebną ilość gwiazdek i połączysz podług ryc., obrobić u brzegu 4 kolejami wzdłuż roboty. Kolej 1: * 3 odwrotne pik. na które z 6 pow. o. przerobić z 2 z rzędu ocz., 1 pik. odwrotnie, w którym po 4 z 6 ocz. 1 o. ścis. przerobić środkowe ocz. beżnej pętelle i pik. zakończyć, 3 pik. odwr. poczem 1 jak poprzednio, od * powtór. Kolej 2: 1 sł. w najbliższe o. poprzedniej kolei, 3 pow. o., 3 sł. w prostopadłe żyłki poprzedniego słup., 2 o. opuścić, od * powtórzyć. 3 kolej ciągle naprzemian: 1 ścis. o. w 3 pow. o. poprzedniej kolei, 3 pow. o. Kolej 4 ciągle naprzemian: 1 sł. w 2 z rzędu o. poprzedniej kolei, 1 pow. ocz.

Przepisy gospodarskie

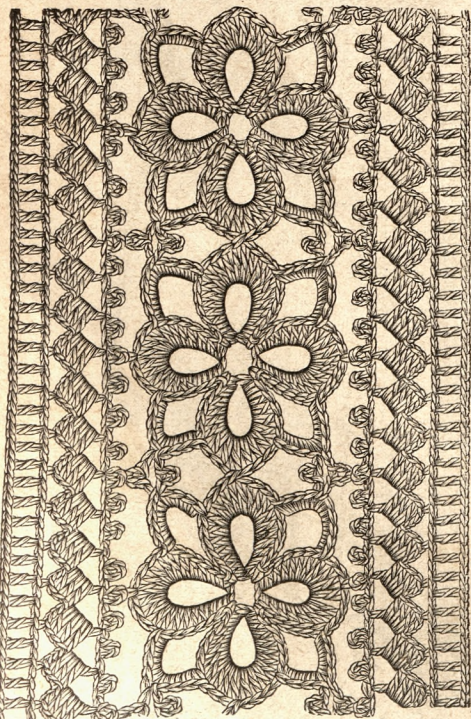
Makaron z rakami.

Makaron ugotować z kwatarki maki i 2 jaj, wysmarować rondel masłem, wysypać bułką, układać warstwę makaronu, warstwę szyszek i nówek rakowych z pół kopy raków, skorupki od raków utłuc w moździerzu, w młode masło przesmarzyć, przefasować, zebrać czerwone masło, zaprawić to masło kwaśną śmietaną, włożyć zielonego kopru, podać makaron tą z a p r a w ą, wstawić do zapieczenia w piec na pół godziny. Proportycja na 6 osób.

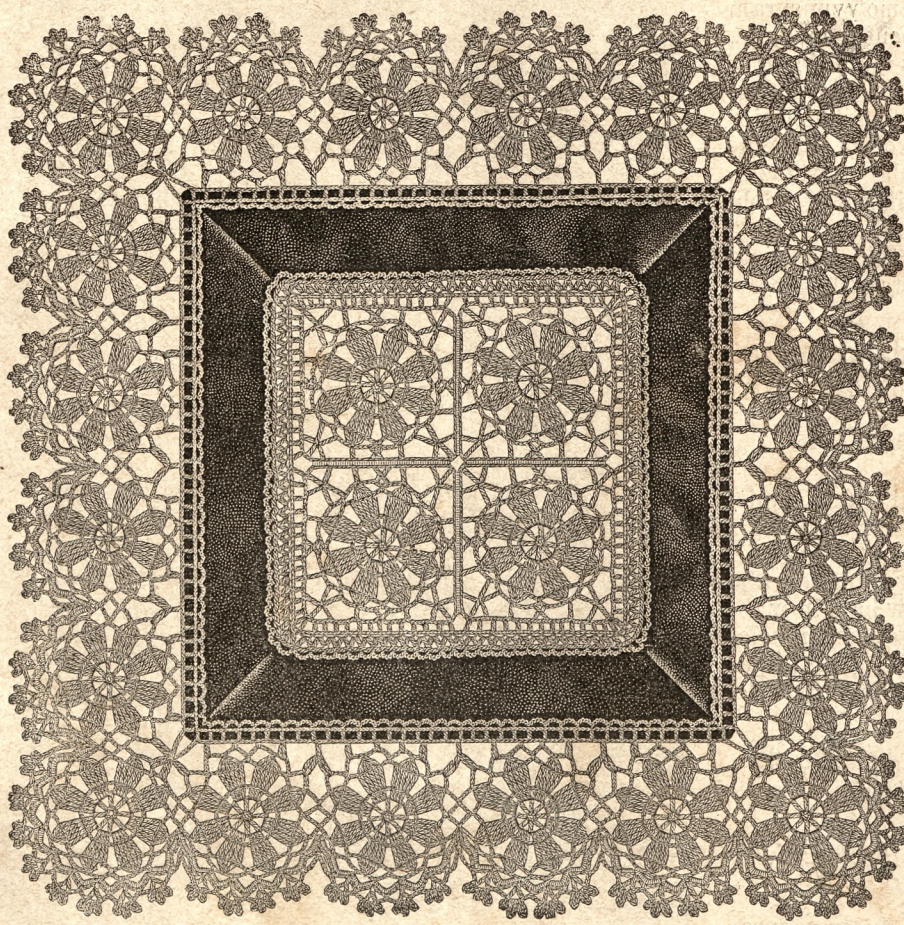
L. C.

Obiad na Niedzielę.

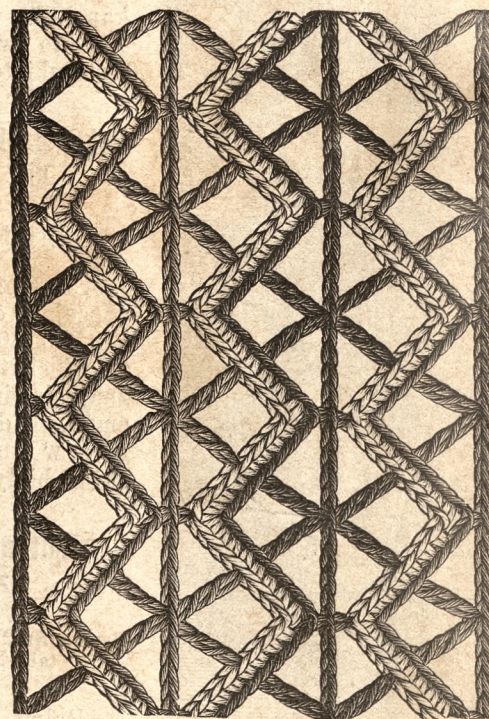
1. Barszcz z botwinką na rosół.
2. Ozór solony z chrzanem.
3. Groszek i marchewka z grzankami.
4. Pieczeń barania „à la sarna“.
5. Ciastka z wiśniami.



Nr 31. Wstawka szydełkową robotą.



Nr 30. Serweta szydełkową robotą. (Do ryc. 29).



Nr 32. Część roboty szydełk. do r. 3 w Bl. Nr 25.